

M.B.
im.
L.W.
w Łodzi

Brak numerów: 8, 25 i 36.

I-48408/73 19.4

Dziś 16 stron za 1 złoty

nr
1/2
(45/46)

MIASTO, w którym ŻYĆ BĘDZIEMY odqłōsy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 11 stycznia 1959 r.

Zielonymi plamami zaznaczyliśmy na planie Łodzi nowe dzielnice mieszkaniowe. Numery oznaczają kolejność ich realizacji. Budowa dzielnic, oznaczonych numerami od 1 do 7 jest kontynuowana bądź ukończona. Pozostałe znajdują się w stadium początkowej budowy bądź projektowania.

- 1) Stare Miasto
- 2) Bałuty
- 3) Os. Wierzbowa
- 4) Koziny
- 5) Dół
- 6) Żubardz
- 7) Widzew Zach.
- 8) Nowe Rokicie
- 9) Karłow
- 10) Kurak
- 11) Dąbrowa Zach.
- 12) Retkinia
- 13) Brus
- 14) Teofilów
- 15) Stoki
- 16) Widzew Wsch.

ZABUDOWA WIELKOKONCZYŃNA
ZABUDOWA NISKĄ
TERENY PRZEMYSŁOWE I SKŁADOWE
TERENY ZIELONE
KANALIZACJA
OS. DZIELNICOWE OSRODKI W. P.
GŁÓWNE ARTERIE MIEJSKIE I DZIELN.
DALEKOSIEŻNE ARTERIE TRANŻYTOWE
LINIE KOLEJOWE I PRZYSTANKI

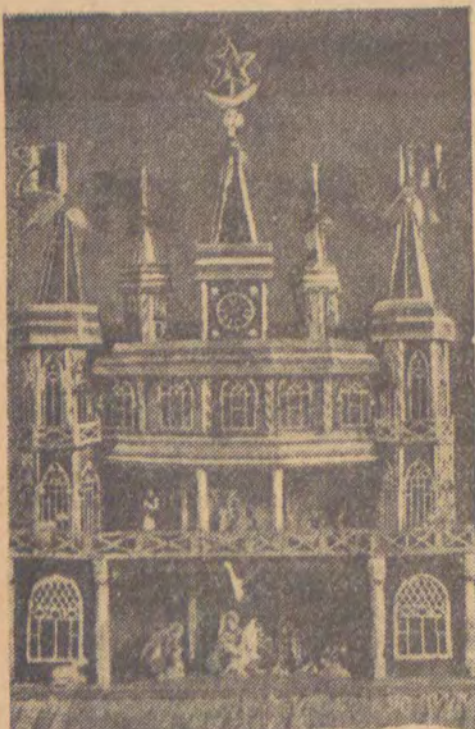
Obyczaj noworoczny każe i pozwala patrzeć w przyszłość. Jaki też będzie rok, w który wchodzimy i przede wszystkim do czego nas przybliży? Za pytaniem tym nie kryje się zwykła, prosta ciekawość.

Zyjemy w czasach planowania. Ta oczywista prawda potocznie bywa zapoznana, a sama dyscyplina planowania wręcz niedoceniana. Tymczasem los indywidualny każdego z nas jest bezpośrednio spleciony z losami miasta, w którym ży-

jemy, fabryki, w której pracujemy, domu, w którym mieszkamy i ulicy, przy której dom ów stoi. Dzięki, niestety również zapoznanej, pracy uczonych i fachowców wielu dziedzin przyszłość — owa przysłowiowa

niewiadoma — staje się kategorią z góry znaną, świadomie kształtowaną, przewidywalną i przewidywaną. To zaś przekształcać musi psychikę człowieka, system podejmowania przezeń decyzji życiowych i sposób patrzenia na życie.

DALSZY
CIĄG
na str.
3 i 5



Szopka z konkursu w r. 1945. Wyk. Tadeusz Ruta. Ze zbiorów Muz. Hist. m. Krakowa. Fot. A. Piotrowski



Szopka z konkursu w r. 1947. Wyk. Tadeusz Ruta. Ze zbiorów Muz. Hist. m. Krakowa. Fot. A. Piotrowski

Patrz
str. 5

Nasza szkołka

Upadek pana Margula

Pan Minister Handlu Zagranicznego — Witold Trampeński siedzi sobie w biurze w Warszawie i jest pewien, że zgodnie z obowiązującymi w Polsce ustawami zawiadywany przez niego resort ma monopol na prowadzenie handlu zagranicznego. Nie chciałby go urazić, bo i powodów po temu nie ma, ale Minister jest w błędzie.

Jak wiadomo, tam na Zachodzie produkują różnego rodzaju gąbki, szczoteczki, zapalniczki i temu podobne. Czy nigdy Was nie zastanowiło, że w setkach komisów, jak Polska długa i szeroka, wszędzie, niczym w MHD, są takie same szczoteczki i mydelka, gąbki, klipsy, zapalniczki, sweterki itp.? To wary w komisach pochodzą przecież od ludzi, którzy przysyłają swym krewnym paczki. Czy to możliwe, aby amerykańscy kuzynkowie, wszyscy, ilu tam ich jest, mieli jednaki gust i umówili się, aby przysyłać to samo?

W odpowiedzi na powyższy dylemat Belfer ma zaszczyt dokonać małej prezentacji:

— Pan Margul.
— Czytelnicy „Odgłosów”.
A teraz dla uczczenia uroczystości wzajemnego przedstawienia, małe historiajka.

Kiedy w Łodzi nakryto jedną czy drugą melinę pierską, okazywało się, po sprawdzeniu długiego łańcuszka pośredników, że część nakrytych towarów pochodzi od niejakiego pana Margula. Kiedy ostatnio mi-

leja zatrzymała (jak donosi prasa) — niejakiego J. Kozarzewskiego, znanego kombinatora, w jego samochodzie marki „Flat” znaleziono partię niemieckich swetrów. Stanowiły one własność pana Margula. Nazwisko Margul pojawiało się z okazji każdej niemal milicyjnej obławy na bazy w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Gdańsku i Sandomierzu.

Pan Margul nie jest ani postacią mityczną, ani nieosiągalną dla władz lub zgoła przeciętnych obywateli. Każdy z Was może go sobie iść obejrzeć, dotknąć, dłoń ucisnąć. Podaję adres: hotel „Bristol” — Warszawa.

Ostatnio złożyli mu tam nawet wizytę funkcjonariusze Inspektoratu Kontrolno-Rewizyjnego. Przeprowadzono rewizję, znajdując mnogie kwitów na paczki. Pan Margul wyjaśnił wszakże, iż ma w NRF ojca-milionera, siostrę-milionerkę, brata-milionera, żonę-milionerkę i syna-milionera i cały ten kolektyw milionerski posyła mu paczki.

Jeśli nawet powyższe wyjaśnienia sprzeczne są nieco z pewnym listem Margula, w którym to pisze on do redakcji jednej z gazet, że jest reprezentantem firmy z NRF, to są to oczywiście niuanse. Człowiek może się mylić.

Nie myślcie, że powyższa historia ma jakąś pointę, jakoś się kończy, ku czemuś zmierza. Nie. Oto kilka jeszcze słów o diariuszu zajęć pana Margula. Ostatnio został wezwany do Wydziału Finansowego, gdyż dostał nową przesyłkę. Ocenili on ją na 200.000 zł i uiszcili podatek dochodowy i obrotowy — 17.000 zł.

Następnie Margul, już z własnej inicjatywy, wysłał

Czy można mówić o istnieniu łódzkiego środowiska naukowego? Wielu czytelników przeczytawszy to może zapytać: — jak to? Łódź, miasto, w którym istnieje tyle wyższych uczelni, nie miałoby własnego środowiska naukowego?

Otóż to. Uczelnie i środowisko. Czy fakt istnienia szkół wyższych jest równoznaczny z istnieniem środowiska naukowego? Wiadomo, że Łódź — wielki ośrodek przemysłowy, miasto pozbawione wyższej uczelni typu akademickiego w okresie międzywojennym (działała tu jedynie filia Warszawskiej Wolnej Wszechnicy) po wojnie stała się poważnym ośrodkiem akademickim. Ale to, że w Łodzi działa kilka szkół wyższych nie jest dostatecznym dowodem istnienia skryształowanego środowiska naukowego. Są uczelnie, a nie ma środowiska.

Oczywiście nikt nie będzie negował, że wśród łódzkich pracowników naukowych wielu jest takich, którzy mogą się poszczycić wybitnymi osiągnięciami naukowymi w zakresie swojej specjalności i to nie tylko na miarę krajową. Ale czy te świadczenia talentu i benedyktyńskiej pracy są wystarczająco silne, żeby wpłynąć na środowisko jako całość? Określić jego klimat naukowy, być czynnikiem krystalizującym, łączącym luźne grupy w jedną spójną grupę środowiskową, oddziałującą na życie obywatelowe, kulturalne i towarzyskie miasta? Myślę, że nie popełnię wielkiego błędu jeśli powiem, że w takim znaczeniu środowiska naukowego w Łodzi nie ma.

A teraz o wszystkim po kolei — sine ira et studio. Jak każde miasto, w którym działają wyższe uczelnie, Łódź ma też swoje instytucjonalne formy życia naukowego. Towarzystwa nau-

kowe, komisje etc. Ilość tych instytucjonalnych form życia naukowego jest, zdaje się, niewspółmierna do rzeczywistego stanu i rozwoju życia naukowego. Jest to jeszcze jedna fikcja, fasada ostanająca wegetację pozorną bujnością i rozkwitem naukowych dyskusji i spotkań. Nie ma reguły bez wyjątku. Uogólnienie chwytają rys dominujący — jest nim zanik naukowych dyskusji. Tych problemowych. Przejaskrawiam? Oczywiście, ale jedynie w ostrym świetle widać niedostatek nauko-

JANUSZ KOWALCZYK

Czego nam brak?

wych poczynań licznego zastępu ludzi związanych ze szkolnictwem wyższym w naszym mieście. Pewnie, że nie spotkania i dyskusje decydują o postępie w nauce. Ale one właśnie są jednym z elementów łączących i określających środowisko. One wyciskają piętno na problematyce badań naukowych. Są wysoce konstruktywnym czynnikiem w procesie kształcenia i wychowania młodzieży. Dowodem choćby środowiska Cambridge i Oxfordu.

Nie sprzyjała i nie sprzyja po dziś dzień procesowi skryształowania i okrzepnięcia środowiska naukowego w Łodzi peregrynacja wielu uczonych do innych ośrodków akademickich, przede wszystkim Warszawy. Brak stabilizacji, płynności kadr — wszystko to działało hamująco na powstawanie i samookreślenie się środowiska naukowego. Są to stare grzechy nadmiernego centralizmu, ale jest w tym i część winy gospodarzy miasta, którzy nie zawsze potrafili docenić rolę i znaczenie środowiska naukowego w Łodzi. Zafascynowani ilością wyższych uczelni częstokroć zapominali o tych, którzy decydują o ich istnieniu i rozwoju — o uczonych.

szych wyższych uczelni w Łodzi.

W tym miejscu zatem rodzą się pytania i zastrzeżenia. Czy przez ten okres czasu nie można było stworzyć zaplecza, choćby z absolwentów łódzkich wyższych uczelni?

Nie jestem socjologiem, ale z mojego publicystycznego zwiadu odniosłem wrażenie, że mało, piekielnie mało absolwentów łódzkich wyższych uczelni znajduje odpowiedzalne stanowiska w różnych agendach, instytucjach naszego miasta. O czym to świadczy? Trudno odpowiedzieć jednoznacznie. Jest to sprawa zbyt skomplikowana, żeby tłumaczyć ją brakiem silnego środowiska naukowego w Łodzi. Ale wiem z całą pewnością, że tu m. in. szukać także trzeba powolnego tempa procesu krystalizowania się środowiska naukowego.

Rezonans społeczny? Tak, to równie konieczne jak wewnętrzne dyskusje i spory uczonych. W procesie krystalizacji środowiska naukowego zabrakło z pewnością ośrodka, który by skupił rozproszone poczynania poszczególnych uczonych. Nie mógł temu poddać najbardziej powołany do roli takiego ośrodka uniwersytet, którego rola sprawozdana została w okresie ubiegłym do kadłubowej szkoły typu bardziej zawodowego niż akademickiego.

Zmiany październikowe przyniosły już pierwsze oznaki określenia znaczenia i wagi w życiu akademickim uniwersytetu, przywracając mu uniwersalistyczny, akademicki charakter. Zatem wokół uniwersytetu

Trzeba przyznać, że w ostatnim okresie gospodarze miasta wykazują coraz większe zrozumienie dla potrzeb wyższych uczelni i uczonych. Wyrazem tego jest ustanowienie nagród za wybitne osiągnięcia naukowe. Doceniając wagę nagród naukowych pamiętać warto, że nie jest to jednak środek jedyny i wystarczający, mimo całej atrakcyjności, który mógłby gruntownie rozruszać i przeorać narosłe już nawyki dotychczasowej działalności pracowników naukowych. Pracownicy naukowci muszą wrosnąć w miasto, stać się jego istotnym składnikiem nie tylko kołorytu lokalnego, ale ważnym czynnikiem w jego życiu umysłowym, kulturalnym i obywatelowym.

Już sam fakt istnienia wyższych uczelni w jakimś sposób wpływa na przemiany zachodzące w mentalności jego mieszkańców. Piszę w jakimś sposób, bo nie wiem doprawdy, czy zmiany te są dostatecznie uchwytne. Być może, że dałyby się one zarejestrować. Ale czy tego rodzaju badania w Łodzi się prowadzi? Mimo wszystko przekonany jestem, że zmiany te są zbyt powolne i niewspółmierne do roli i znaczenia, jak może i powinno w procesie tych zmian odgrywać środowisko naukowe. Gdyby oczywiście istniało. Może jest to rezultat pewnej izolacji, braku kontaktu, może, co nie jest wykluczone, braku zrozumienia dla środowiska naukowego w mieście o nikłych tradycjach intelektualnych. Może to koszty jakie płaci się za budowanie środowiska naukowego w mieście bez szerszego zaplecza. Mógłby jednak już kilkanaście lat od powstania pierw-



skupiać się winno łódzkie środowisko naukowe. Wokół jego humanistyki, która stać się może płaszczyzną, na której spotkają się technik i lekarz, filozof i filolog, ekonomista i prawnik.

Są to oczywiście propozycje, ale mające szanse urzeczywistnienia. Bo tak jak współczesnemu humaniście potrzebne są podstawowe wiadomości z zakresu techniki i przyrodznawstwa, tak współczesny technik uwzględnić winien wyniki prac humanistów, socjologów i psychologów, historyków i filozofów. Technika, żeby nie zatracić swej humanistycznej funkcji społecznej musi się liczyć z przedmiotem humanistycznych dociekań, człowiekiem.

Taką platformę porozumienia widzę w odradzającej się placówce łódzkiej socjologii, szerzej w humanistyce, która skupić może rozproszone poczynania różnych grup specjalistów, która przełamać może dotychczasową dezintegrację środowiska naukowego, podając wysiłki w celu ukonstytuowania się spójnego środowiska naukowego w Łodzi.



BELFER

DALSZY CIĄG ZE STR. 1

Cały sztab ludzi w Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego i Pracowni Urbanistycznej m. Łodzi ukończył w minionym roku olbrzymią pracę nad perspektywnym planem rozwoju m. Łodzi. Dał nam w zasadzie dwa opracowania. Pierwsze pn. „WSTĘPNA KONCEPCJA PLANU PERSPEKTYWICZNEGO ROZWOJU M. ŁODZI” omawia szczegółowo zagadnienia ekonomiki i odpowiada na pytania, jakie dziedziny przemysłu i usług powinny się rozwijać, co wymaga modernizacji, co budowy nowej, co trzeba w strukturze gospodarczej miasta zachować, a co zmienić, jakie będą zarobki ludności, jak kształtować się będzie zatrudnienie itd. itp. Perspektywny plan ekonomiczny jest szkieletem, na którym niejako rozpina się drugie opracowanie — plan urbanistyczny.

Publikujemy na początek omówienie planu urbanistycznego, jakkolwiek w partiach dotyczących mieszkalnictwa i gospodarki komunalnej oparliśmy się już na danych planu ekonomicznego, będących w stosunku do opracowania urbanistów pewną korektą albo uściśleniem. Dyskusja, czas i życie wniosą do tych ogólnych wyobrażeń o przestrzennym kształcie miasta wiele korektur. Jeżeli mimo tej dyskusyjności szczegółów publikujemy kilka ogólnikowych słów o kierunkach generalnych, to z przekonaniem, że zasługują one na uznanie. Mniemamy też, że relacja nasza zacieka każdego łodzianina.

Wyobraźmy sobie, że rodzi się człowiek. Siada nad takim ośkiem grono naukowców i dokładnie a wszechstronnie planuje jego życie. Zakłada, że żyć będzie lat 70, zostanie inżynierem chemikiem. Planuje, że zużyje tyle to a tyle pieluszek, tyle to a tyle par butów, koszul, ubrań. Będzie się dzień po dniu uczył i czego będzie się uczył. Zje tyle ton chleba, wypali tyle a tyle paczek papierosów, będzie pracował, założy rodzinę, na 60 np. urlopów wyjedzie tam a tam itd. Wyobraźcie sobie coś to za gigantyczna praca! A teraz podnieśmy tego jednego człowieka do skali miasta: będziemy mieli wówczas wyobrażenie co to jest plan perspektywny.

Miasto również jest niejako żywym organizmem, rozwija się, ma swoje określone potrzeby lokalowe, zatrudnieniowe i zarobkowe, konsumpcyjne, komunikacyjne, potrzeby dotyczące wygody i rozrywkę. Potrzeby te rosną w czasie. Plan określa środki ich zaspokajania.

Łódź rosnąć ma niejako w sensie jakościowym, a nie ilościowym. Wobec konieczności zapewnienia pracy, mieszkań i dogodnej komunikacji dla obecnej ilości mieszkańców Łodzi, którzy dobrych warunków we wszystkich tych dziedzinach na ogół są pozbawieni, zakłada się, iż w r. 1975 Łódź zamieszkała będzie przez 820 tysięcy mieszkańców, to znaczy liczy się tylko przyrost naturalny, wykluczając natężenie przyrostu ludności.

W objętym planem okresie nastąpi generalna modernizacja wielu fabryk włókienniczych. Wybudowane też zostaną nowe. Sprawi to, że produkcja znacznie wzrośnie, ale dzięki unowocześnieniu maszyn i urządzeń zmaleje o kilkadziesiąt tysięcy zatrudnienie. Istnieje więc konieczność stworzenia nowych miejsc pracy. Rozbudowany zostanie więc w Łodzi przemysł maszynowy, konfekcyjny, chemiczny, galanterijny, różne gałęzie przetwórstwa metalurgicznego, precyzyjny itp. Przemysł ten wchłonie oprócz nowych roczników, które wejdą w międzyczasie do produkcji, również część ludzi stopniowo zwalnianych z włókiennictwa.

Jest to jeden z elementów programu ogólnego podniesienia stopy życiowej Łodzi, gdyż wymienio-



NOWE ROKICIE. Widok osiedla z lotu ptaka od Półn.-Zachodu. Autorzy projektu urbanistycznego: inż. arch. JERZY JAKUBCZAK i inż. arch. JERZY BEDNARZAK. Osiedle przewidziane dla 9 tys. mieszkańców znajduje się już w budowie. Jeszcze w tym roku zostanie ukończonych 1058 izb. Budynki wysokościowe (tzw. punktowce), projektu inż. inż. MINNICA i JAKUBOWSKIEGO wzniesione będą metodą uprzemysłowioną



Zabudowa południowej części Łodzi, obejmującej rejon placu Reymonta, pl. Niepodległości, ul. Przybyszewskiego, Dąbrowę, Chojny, Rudę, Rokicie, Stare i Nowe oraz rejon ul. Obywatelskiej — przedstawiać się będzie podobnie jak na północy. Z tym, że szybciej powstaną tu nowe urządzenia komunalne i społeczno-żytkowe. Poważną część osiedli wzniesie się już w latach 1959 i 1960, następnie do 1965 r.

Ludność tego rejonu wzrośnie z 174 tysięcy do 219 tysięcy, z tym, że oczywiście, jak wszędzie, warunki mieszkaniowe, również w sensie gęstości zaludnienia mieszkańców, ulegną znacznej poprawie.



W zespole wschodnim obejmującym tereny na wschód od ul. Kopeńskiego w obszarze od ul. Wojska Polskiego, Brzezińskiej na północy do granic Zarzawa i wsi Augustów — na południu zamieszka 115 tysięcy ludzi. (Obecnie 50 tys.). Widzew zabudowany zostanie domami cztero- i piętrowymi i wyższymi. System rejonowy mieszkanych opasywać będzie centrum Widzewa (dawny historyczny Widzew, rozłożony wzdłuż ul. Armii Czerwonej), gdzie znajdą pomieszczenia główne instytucji usługowe i szereg zakładów pracy. Ambitny program rozwoju tego systemu zasadza się na: po pierwsze, istnieniu wolnych terenów między stacją Widzew a ul. Nowotki (budowę dzielnic na tych terenach rozpocznie się już w planie etapowym do roku 1965), po drugie — dogodnej komunikacji masowej (zelektryfikowana linia kolejowa, łącząca Widzew zarówno ze śródmieściem jak i dzielnicami północnymi i południowymi). Największą dzielnicą widzewską ma być

tzw. „Widzew Wschodni”. Dzielnicą ta rozłoży się wzdłuż południowej strony ul. Rokicińskiej od wiaduktu aż do stacji.

W planie etapowym obok kontynuacji budów w rejonie ul. Zbierczej i na Stokach na pierwszy ogień pójdą w tym zespole urbanistycznym urządzenia kanalizacyjne („uzbrajanie” pod projektowane na dużą skalę nowe dzielnice mieszkaniowe) oraz polepszenie komunikacji (połączenie Stoków z Widzewem przez Podgórze — wiadukt pod linią kolejową w pobliżu przystanku kolejowego „Niciarnia”).



Wykreślone na zachodzie, tj. na zachód od ulic Zeromskiego i Żeligowskiego (rejon st. Łódź Kalicka, Karolew, Retkinia, Brus, Zdrowie, Polesie Konst., Cyganka i Złotno) powstanie zespół osiedli na 163 tysiące mieszkańców (dziś 44 tys.) oraz szereg fabryk. Jak widać z tą częścią miasta wiąże się największy program budownictwa mieszkaniowego. Decydują o tym duże rezerwy terenowe (przeważnie państwowej własności), zdrowotność okolicy i łatwość jej uzbrojenia. Wielka przyszłość tego zespołu urbanistycznego rysuje się w związku z projektowanym w perspektywie Kanalem Centralnym. Intensywna zabudowa tych obszarów przewidziana jest na drugą pięciolatkę (1965-1970).



Podczas kiedy zespoły nowych dzielnic okalają śródmieście, samo centrum ulegać będzie systematycznemu „rozładowywaniu”. Mieszka tu dziś 260 tysięcy ludzi. Plan przewiduje zmniejszenie tej liczby do 160 tysięcy.

W miarę przenoszenia mieszkańców śródmieścia do nowych, dalej położonych dzielnic prowadzone będą prace nad porządkowaniem tego terenu: burzenie stojących tu ruder lub małych domków, poszerzanie ulic itp. Zaadaptuje się też inne budynki. Jeśli chodzi o gruntowną przebudowę, to na pierwszy

ogień pójdzie obszar obrysowany ulicami: Narutowicza, Targowa, Główna i Kościuszki. W pierwszym rzucie uporządkowany zostanie teren wokół Dworca Fabrycznego. Wybuduje się tu nowoczesny hotel, restaurację, centralny dom towarowy. Następnie w wielu punktach centrum rosnąć zaczną domy o najnowszej architekturze.

Gruntowną przebudowę pozostałego obszaru śródmieścia przesunie się poza rok 1980. Tak, że między nowym centrum śródmieścia a nowymi zupełnie osiedlami opierścieniaczącymi środek miasta pozostanie pasmo ulic zabudowanych starymi domami.

(Podobnie zresztą wygląda dziś wiele miast na świecie. Reprezentacyjne centrum zostało przebudowane, urbanistycznie i architektonicznie unowocześnione, na peryferiach wyrosły nowe dzielnice, zaś łączą je stare, bardziej lub mniej unowocześnione zespoły ulic i dzielnic).

Środkiem zmierzającym do polepszenia warunków życia na obszarach w zasadzie zachowanych w stanie dotychczasowym — będą kapitalne remonty, z tym, że objęte nimi zostaną budynki o najlepszym stanie technicznym.



Wyobrażamy sobie, że wielu obecnych mieszkańców śródmieścia nie przyjmie z zachwytem powyższych wieści. Może ich zasmucić wiadomość, że ponad jedną trzecia łodzian obecnie zadowolonych w centrum Łodzi przeniesiona zostanie „na peryferie”. Obawa przed zmianą miejsca zamieszkania nie jest jednak uzasadniona.

O ile Łódź jako miasto posiada fatalne warunki klimatyczno-zdrowotne, o tyle w śródmieściu rzecz przedstawia się wyjątkowo katastroficznie (skupienie fabryk, brak przewiewu, nadmierna gęstość zaludnienia, mało zieleni itp.). Z tego punktu widzenia przeniesienie się do dzielnic zdrowszych jest prawdziwym dobrodziejstwem.

(Dokończenie na str. 5)



Współczesnym świecie świadomość zdrowej myśli strategicznej jest tym bardziej ważna, że świat znalazł się potencjalnie w sytuacji, w której jak powiedział brytyjski filozof Bertrand Russel, „grozi powszechna katastrofa bez względu na to, po której stronie będzie przewaga i z której strony padnie pierwszy strzał”.

Przyjrzyjmy się więc, jak wygląda ewolucja tej myśli militarnej u zachodnioeuropejskich partnerów paktu atlantyckiego, na tle elementów wyszczególnionych we wstępie tego artykułu.

4 odgłosy

W miarę jednak postępu zbrojeń atomowych, a zwłaszcza od roku 1954, kiedy to w 9 miesięcy po amerykańskiej, wybuchła pierwsza próbna bomba wodorowa w ZSRR, różnice w tonie paktu atlantyckiego zaczęły zarysowywać się coraz poważniej, a w chwili obecnej, z nielicznymi wyjątkami, można już praktycznie uznać istnienie dwu odmiennych teorii militarnych.

Właśnie z zachwiania rów-

Oczywistość takiego rozwoju wypadków w razie wybuchu wojny podyktowała Amerykanom strategię peryferyjną, rezygnację z Europy, Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki, w zamian za strategiczne bombardowania i — w dalszej perspektywie — inwazję na ZSRR z kierunku Arktyki.

doskonale ukrytych stano-
wisk, wykluca możliwość
przeprowadzenia jakiegokol-
wiek inwazji z kontynentu
na kontynent. Każdy kon-
wój morski, każdy przyczu-
łek desantowy skazany jest
na zniszczenie, nawet jeśli
przeprowadzający inwazję
posiada absolutną przewa-
gę lotniczą.

Odrzucając amerykańską doktrynę atomowej wojny lotniczej i strategii peryferyjnej zachodnia Europa odbywa ewolucję, której rezultatem musi być zdecydowane opowiedzenie się za ustanowieniem powszechnego pokoju. Ten proces wymaga przewartościowania wielu pojęć i dlatego nie jest łatwy. Rozwija się jednak stale i konsekwentnie.

ZA TYDZIEŃ Z TEGO
SAMEGO CYKLU, JAKO
ILUSTRACJA SKUTECZ-
NOŚCI „STRATEGII PE-
RYFERYJNEJ” — „BOM-
BARDOWANIA STRATE-
GICZNE A NIEMIECKI
PRZEMYSŁ WOJENNY”

Interwencja w Suezie

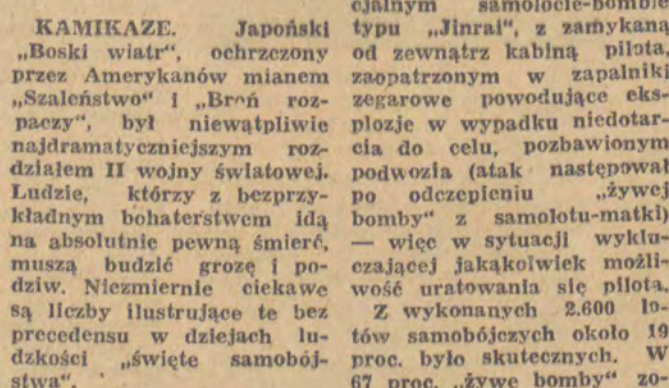
7 Zmechanizowana Dywizja Szybka była to nowoutworzona, doświadczalna wielka jednostka, przeznaczona do "operacji atomowych", zmotoryzowana do maksimum — jeden pojazd mechaniczny na trzech żołnierzy.

W rezultacie tylko niewielka część dywizji wzięła udział w walkach w Egipcie. Większość jej oddziałów spędziła miesiąc na morzu, nie oglądając w ogóle lądu: z Algieru do Malty, z Malty do Cypru, z Cypru do wybrzeży egipskich i z powrotem do Algieru.

Będą tak pracowali przez dwa i pół miesiąca.

Dywizja otrzymała również wozy szturmowe AMX rozwijające szybkość do 100 kilometrów na godzinę, a dostatecznie lekkie, by móc je transportować w barkach desantowych.

Był człowiek, który całe przygotowania mógł zarzucić jednym słowem —



Pierwszy atak KAMIKA-
ZE nastąpił w październiku
1944 r. w czasie tragicznej
dla Japończyków bitwy pod
Filipinami. Wystartowało
stały zestrzelone przez my-
śliwców i artylerię przeciw-
lotniczą. 14 proc. samobój-
ców nie trafiło w cel.
Spośród trafionych okrę-

— Odmówił.. A kto w takim razie?

— Sir Charles Keightley,
drzwódca sił brytyjskich na
Środkowym Wschodzie.

* * *

Sir Charles Keightley do-
wodzi z Episkopi na Cyprze.
Tam mieszka. Z jego okien
widać zatokę, gdzie kiedyś
Afrodyta powstała z piany.
Do Londynu zagląda tylko
od czasu do czasu.

Ten potężny, masywny kawalerzysta jest jakby stworzony do roli, która została mu wyznaczona. Cechuje go delikatność i uprzejmość — atrybuty ogromnie ważne tam, gdzie chodzi o łagodzenie tarć i różnic poglądów między różnymi brzońmi — lotnictwem, marynarką, siłami lądowymi — dwóch narodów.

W bunkrze pod Tamizą panuje pełna harmonia, kiedy w nadadach bierze udział Sir Charles Keightley. Stworzenie planu wojny, która będzie prowadził, Sir Charles pozostawia — zgodnie z angielską tradycją wojskową — swojemu szefowi operacyjnemu. Jest nim generał — porucznik Stockwell.

* * *

Port Said. Przeddzień ewakuacji sił anglo-francuskich. Konferencja prasowa. Korespondenci wojenni czekają. Wychodzi generał Stockwell, wykonuje parę powolnych kroków, rzuca w powietrze czapkę, łapie ją ze zrezygnacją tambur-majora, wyciąga w stronę korespondentów: „Panowie, bezrobotny generał prosi o wsparcie. Co łaska, panowie“.

Generał Stockwell ma poczucie humoru. Jest w tym bardzo francuski. Nie ma w nim w ogóle nic z flegmatycznego Anglika. Wysoki, szczupły, żywy, jest jednym z najzdolniejszych oficerów armii brytyjskiej. W ciągu pięciu lat awansował z majora do stopnia generała. Jak większość oficerów angielskich biorących udział w operacji, zna Egipt doskonale. W roku 1948 dowodził oddziałami angielskimi, które jako ostatnie opuściły Palestynę. Armie Izraela uważa jednak za takiego samego nieprzyjaciela, jak armie Egiptu, i w tym nie jest francuski, a typowo angielski.

(d. c. n.)

wówczas 27 samolotów. Do końca wojny, a więc do 15 sierpnia 1945 r. — czyli w ciągu 10 miesięcy, samolotów bojowych lotów dokonało ogółem prawie 2.600 lotników japońskich. W ogromnej większości, bo w ponad 2.000 wypadków loty przeprowadzone były na specjalnym samolocie-bombie typu „Jinrai” z zamkniętą od zewnątrz kabiną pilota, zapakowanym w zapalnik zegarowe powodujące eksplozję w wypadku niedostarcia do celu, pozbawionym podwozia (atak następował po odcepieniu „żywej bomby” z samolotu-matki) — więc w sytuacji wykluczającej jakąkolwiek możliwość uratowania się pilota.

Z wykonanych 2.600 lotów samobójczych około 19 proc. było skutecznych. W 67 proc. „żywe bomby” zostały zestrzelone przez myśliwce i artylerię przeciwlotniczą, 14 proc. samobójców nie trafiło w cel.

tów zatonęło 45, a wiele zostało poważnie uszkodzonych, w tym 15 pancerników i 28 lotniskowców różnych klasy. Ogólna ilość strat ludzkich spowodowanych atakami KAMIKAZE wyniosła ponad 20 000 zabitych i rannych, stanowiąc blisko 10 proc. amerykańskich strat w wojnie na Pacyfiku.

W momencie kapitulacji Japończycy posiadali w zapasie 9.000 bomb „Jinrai”, dla których szczególnie brakowało już pilotów. W ostatniej fazie wojny japoński przemysł był w stanie produkować 3 do 4 tysięcy takich bomb miesięcznie, lotnictwo natomiast intensywnie szkoliło masowo zgłaszających się kandydatów na samobójców.

Fachowcy oceniali, że w wypadku generalnej inwazji na macierzyste wyspy Japonii, planowanej na listopad 1945 r., Japończycy byli w stanie wykonać ponad 5.000 samobójczych ataków..

MIASTO, **w którym** **ŻYĆ BĘDZIEMY** **DOKOŃCZENIE ZE STR. 3**

Nowe dzielnice w mieście nie będą przypominać obecnych peryferii. Człowiek tam mieszkający znajdzie na miejscu wszystkie urządzenia handlowe, kulturalne itp. co spowoduje, że konieczność przybywania do centrum przy każdej okazji będzie zbędna. Poza tym szybką i wygodną podróż do śródmieścia zapewnią nowe rozwiązania problemu komunikacyjnego.



Podstawowym środkiem masowej komunikacji miejskiej pozostanie tramwaj, ale unowocześniony, cicho- i szybkojezdny. Wspomagać go będą rozbudowane linie autobusowe i trolleybusowe oraz koleje. Tramwaje pobięgną przebieżnie wydzielonymi torowiskami. Już w planie etapowym powstanie 18 km nowych dwutorowych linii tramwajowych, a na przestrzeni 11 km linii jednotorowych dobuduje się tor drugi.

Uproszczony schemat komunikacyjny będzie wyglądał tak, iż osiem arterii tramwajowych przepadnie (po cztery) będzie się przecinało w centrum. Poza tym powstaną arterie okrężne, opierające się o śródmieście kręgiem o coraz dłuższej średnicy, łączące bezpośrednio dzielnice rozłożone wokół centrum. W każdym razie plan przewiduje dosyć szybkie rozkładanie tłoku w tramwajach, nawet w godzinach tzw. szczytu, tj. dojazdu do- i powrotu z pracy.



Istniejący w Łodzi system sieci wodno-kanalizacyjnej obejmuje przeważnie centrum, a nie sięga terenów obrzeżnych, peryferyjnych. Stąd w roku 1957 zaledwie 59 procent łódzian używało wody z bezpośrednich podłączeń do sieci wodociągowej, 12,2 proc. ze źródeł ulicznych i beczkowozów, co daje w sumie 71,2 proc. ogółu ludności korzystającej z wody miejskiej. W tym samym roku 1957 tylko 53 procent łódzian korzystało z usług kanalizacyjnych. W ciągu najbliższych dwóch lat nie należy spodziewać się radykalnej poprawy, jako że wolna rozbudowa sieci wodno-kanalizacyjnej pśięguje przede wszystkim pod kątem potrzeb nowego budownictwa mieszkaniowego.

Niemniej plan etapowy przewiduje, że w roku 1965 równe 85 proc. ludności używać będzie wody „miejskiej” a 75 korzystać z kanalizacji. Plan perspektywiczny podnosi oba wskaźniki o 10 proc.



Łódź jest miastem o ilości zieleni daleko poniżej norm gwarantujących minimum zdrowotności. Ogółem Łódź posiada 980 ha zieleni. Plan perspektywiczny zakłada osiągnięcie 2.648 ha.

Zieleń pierścieniem obejmowała by śródmieście, również zazielenione na znacznych obszarach dziś jeszcze gęsto zamieszkałych. Znacznie powiększone zostaną parki, a szereg ulic obsadzonych będzie drzewami.



Szpitalnictwo łódzkie dysponuje obecnie około 5 tys. łóżek. Plan etapowy zakłada przyrost 2.125 łóżek a perspektywiczny określa ich

stan (po odliczeniu tych, które trzeba będzie zlikwidować i bez psychiatrycznych) na 8.437. Da to w efekcie wskaźnik 10,3 łóżek na 1000 mieszkańców i przy założeniu poprawy opieki szpitalnej oznacza wyraźny postęp. W planie etapowym prowadzone będą prace budowlane bądź adaptacyjne w 7 szpitalach, w planie perspektywicznym wybuduje się 5 nowych szpitali.

W planie etapowym stanąć mają 144 nowe szkoły podstawowe, w perspektywie zaś jeszcze 171, co umożliwi prowadzenie nauki na jedną zmianę i zmniejszy wybitnie obecne zagęszczenie izb lekcyjnych, mimo przewidywanego na najbliższe lata ogromnego przyrostu młodzieży w wieku szkolnym.



W planie perspektywicznym zakłada się, że w Łodzi czynnych będzie 77 szkół średnich ogólnokształcących i 103 zawodowych, które znajdą pomieszczenie w specjalnie na ten cel wzniesionych budynkach. Nowe gmachy otrzymają również szkoły wyższe.

Obecnie na jedno miejsce w teatrze przypada 106 mieszkańców. Program na etap 1960 — 65 przewiduje zmniejszenie wskaźnika do 90 osób, a w perspektywie do 75 osób na jedno miejsce. Pierwsze zamierzenie urzeczywistni oddanie do użytku Teatru Narodowego i powiększenie operetki. W kinach przypada dziś 86 osób na jedno miejsce. Etap przewiduje 66 osób, a perspektywa — 41 osób.

Kolosalne inwestycje poczynione zostaną również w dziedzinie rozbudowy sieci handlu i zakładów żywienia.

I wreszcie



Urbaniści łódzcy przyjęli za punkt wyjścia wyobrażeń o rozwoju mieszkalnictwa, że

W 1955 roku 675 tysięcy łódzian gnieździło się w 326 tys. izb. Na 176 tys. mieszkań przypadało 240 tys. gospodarstw domowych. 64 tysiące rodzin nie miało osobnych mieszkań.

Średnia gęstość zaludnienia wynosiła 2,07 mieszkańca na izbę. W mieszkaniach jednoizbowych gęstość zaludnienia dochodziła do 3 osób. Stanowiły one 47 procent wszystkich mieszkań. W mieszkaniach dwuizbowych wskaźnik zaludnienia dochodził do 2 M-izb.

Według prognozy, zawartej we wspomnianym na wstępie opracowaniu MKPG:

W roku 1960 Łódź liczyć będzie 720 tys. mieszkańców a zasoby mieszkaniowe wyniosą łącznie 374,350 izb. Na 194 tys. mieszkań przypadnie 261,9 tys. gospodarstw domowych średniej wielkości, głógu 67 tys. rodzin nie będzie posiadało samodzielnych mieszkań.

Plan perspektywiczny zakłada, że

Ludność Łodzi liczyć będzie w roku 1975 820 tys. osób. W związku ze zmianami w przemyśle łódzkim, które przyniosą nowe ukształtowanie struktury zatrudnienia (spadnie procent zatrudnionych we włókiennictwie) i wobec założonego ograniczenia dopływu ludności z innych terenów przewiduje się zmiany struktury gospodarstw domowych. Zmiany te przyniosą zmniejszenie się liczby gospodarstw najmniejszych 1 i 2-osobowych i największych 5 i więcej osobowych a zwiększenie liczby gospodarstw domowych średniej wielkości głównie 3-osobowych. Pociąga to za sobą potrzebę dalszego polepszenia struktury mieszkań w kierunku powiększenia liczby mieszkań 3-izbowych. I tak plan perspektywiczny zakłada, że w zasadzie każda rodzina powinna mieszkać w samodzielnym mieszkaniu, przy czym gospodarstwa domowe 3-osobowe powinny zajmować w 50 proc. mieszkania 2-izbowe i w 50 proc. 3-izbowe. Analogicznie „pół na pół” ale zarazem proporcjonalnie o jedną izbę na każdą osobę więcej powinna się polepszyć sytuacja rodzin większych. W tym samym czasie ulce mają kompletne likwidacji wszelkie prowizoryczne pomieszczenia, zamieszkałe dotąd na skutek potwornej ciasnoty.

Oblicza się, że zagęszczenie mieszkaniowe dla 800 tys. łódzian winny wynieść w roku 1975 689 tys. izb.

Średni wskaźnik zagęszczenia obniżyłby się wtedy do 1,16 czyli poniżej przeciętnej ogólnopolskiej, przewidywanej na 1,25. Jest to naj-

Łódzcy architekci rozkochali się w nadawaniu swoim „dzieciom” człowiecznych imion. Oto KRZYSZTOF, ELŻBIETA, MAREK, zespół mieszkaniowy, który stanie przy Al. Kościuszki naprzeciwko Domu Partii. Projektował inż. arch. Tadeusz Herbert. Realizacja zespołu rozpocznie się w r. 1960

lepszy program w kwestii mieszkaniowej, jaki można sobie tylko wyobrazić. Ale...

Ale nie jest to program łatwy, jeśli się zważy, że ubytki naturalne (mówiąc po prostu — systematyczne walenie się ruder sprzed stu i mniej i więcej lat) oraz niezbędne wyburzenia komunikacyjne i dla celów przebudowy wyniosą 85 tys. izb. Suma sumarum z bilansu łódzkiej gospodarki

mieszkaniowej w perspektywie wynika, że jeśli chcemy sprostać wyżej wspomnianym założeniom, to czeka nas wysiłek budowania ni mniej ni więcej tylko 400 tys. izb. Oznacza to, że w planie etapowym trzeba ich wzniesić co najmniej 100 tysięcy.

Jest to plan i niełatwy i ambitny, ale zarazem — fachowcy to dowodnie wykazują — i realny i wykonalny.

Wynika chętnie jasno z wszystkich danych, że w Łodzi nie dokonana się żaden cud, nie stanie tu miasto z bajki, nie stworzy się tu morza (choć i to koło Pabianic się planuje), nie wzniesie gór. Ale w forsownym tempie na terenie dzisiejszej Łodzi i na bazie obecnego miasta wzniesione zostanie droga przebudowy i budowy nowych dzielnic miasto nowoczesne, zapewniające minimum wszechstronnych wygod, zabezpieczające dobre warunki życiowe swoim mieszkańcom.

Historia Łodzi nie zna równie szybkiej i generalnej budowy. A co najważniejsze to nie są miraż, plany na wiekową przyszłość, obietnicy cacanki.

Budowa już trwa, a zakończona będzie za lat dwadzieścia. Jest to zgola chwilka. Oczywiście w życiu miasta.

PYTANIE KONKURSOWE **NR 3**

Gdzie chciałbyś mieszkać?

- a) w śródmieściu
- b) na „peryferiach“
- c) w domku jednorodzinnym
- d) w bloku
- e) jeżeli na peryferiach, to w jakiej dzielnicy?



A B C D E

Zakreśl właściwe odpowiedzi. Zbieraj kupony. Na razie nie wysyłaj.

tu wpisz nazwę tej dzielnicy

odpowiedź str. 5

Reportażu tego nie napisałbym, gdyby nie rozwiązało mi się w parku Poniatowskiego sznurowadło u bucika. No i gdyby nie towarzyszyła mi wówczas narzeczona.

Jak to powiązać?

A właśnie... owym rozwiązaniem sznurowadłem, które kilka lat temu było przyczyną mocno przykrego dla mnie zajścia, w tym samym parku Poniatowskiego.

Spojrzawszy na bucik przypomniałem sobie tamtą historię i rozgoryczony rzuciłem parę niepochlebnych uwag pod adresem parku, a także pobliskiej dzielnicy.

Oburzyło to bardzo narzeczona. Usiłowała nawet rozplakać się (na środku głównej alei), wymawiając mi — jak moge, przecież ona mieszka w tej dzielnicy, a z parkiem tyle wspomnień nas łączy.

Ale pierwsze moje wspomnienia z parku Poniatowskiego były inne niż wydawało się narzeczonej.



PANIENKI Z ALEJKI

Koledzy, którzy lubili rzucać się w tzw. „wir życia” wyciągnęli mnie kiedyś do parku Poniatowskiego.

Istotnie, to co się tu działo, przypominało trochę wir... Dziewczęta, a za nimi chłopcy z marnym uporem kręcili się wokół jednej alei, otaczającej staw. W ten sposób zawierało się tu znajomości. Im szybciej uciekały dziewczęta, tym większe szanse miał adorator. A dziewczynki były ponętne, z ogromnymi dekolantami typu „na słowo honoru”, ściśnięte w tali niesamowicie szeregami, nylonowymi paskami (krzyk mody anno domini 53).

W ogóle park Poniatowskiego przypominał mi park uwieczniony przez Payneta w albumie „Zakochani”, a że zamiast amorków unosiły się nad nim skrzące wrony nie ujmowało mu romantycznego uroku.

Niemalże kłopotu mieli dozorczy parku z „wędrującymi” ławkami, które wieczorem znikwały z alei, by pojawić się nazajutrz w najskrytszych zakątkach parku.

Znaleźć tu po zapadnięciu zmroku wolną ławkę było takim samym niepodobieństwem, jak dostać w Łodzi przytulne mieszkanie.

Idylla trwała zazwyczaj do godz. 10—11, kiedy to w alejach pojawiały się groźne cienie milicjantów. Zatrzymywały się te cienie przed każdą ławką ze słowami:

— Idźcie już dzieci do domu, jeszcze jakaś krzywda wam się stanie.

Wtedy majające w mroku klekcy głów odskakiwały od siebie i długi sznur parok człapał smutnie ku wyjściu.

Pamiętam, mój powrót z parku był jeszcze smutniejszy! W alejce nad stawem, która dawała mi wyobrażenie co znaczy „wir życia” zauważyłem niezwykle sympatyczną panią. Była z koleżankami. Ja — z kolegą.

Zrobiliśmy za nią z dziesięć rund po owej zwirowanej alejce, co nas w pełni uprawniało do zaczepienia ich.

A one na naszą ułożoną z góry mowę:

— Mowa trawa, liście wędna, koledzy. Mamy dla was pół godziny czasu — na siódmą jesteśmy umówione, a o dziewiątej czekają na nas faceci „na betonie”!

Wtedy ja zacząłem o samobójstwie, ale mi przerwały:

— Jak będziecie robić to samobójstwo w takim tempie jak znajomości z kobietami, to zima przyjdzie i na cmentarzach bramy zamarznię. Nagle spojrzałem w bok i widzę — ciasno zaczyna się robić wokół nas... Jeden, dwóch, trzech, czterech dryblasów w spodniach przypominających rury od kanonki, w butach na słoninie, niektórzy w damskich apaszkach pod szyją.

Biorą nas te dryblasy w kółeczko, a przybywa ich coraz więcej.

— Zapierajcie się swoje zwłoki, te koleżanki są „zajęte” — wyrwał się jeden z nich.

A drugi:

— To są za wielkie panowie, żeby szli pieszo, trzeba dla nich nająć taksówkę na kołach od karawanu.

Widząc, że z interesującej znajomości „nici”, a sprawa zaczyna przybierać obrót niepomysłny, buchnąłem całym ciężarem na otaczający mnie pierścień. (Kolega zrobił to ciut, ciut wcześniej). Uchodziłem co sił w nogach, depcząc krzaki i trawniki i wtedy

zwiększyło jej gniew. Nie uważała za stosowne w ogóle ze mną rozmawiać.

Mieliśmy więc tak poważne miny, że spacerujące po parku młode matki mogłyby straszyc nasmi niegrzeczne dzieci.

— Wszystkiemu winien lokalny patriotyzm — tłumaczyłem sobie zachowanie narzeczonej, ale nie przynosiło mi to ulgi.

Dowlekliśmy się tak pod kolumnienki, zdołując cypel nad stawem. Nie wspominałem już o tym, że kolumnienki są urzekająco brzydkie, a labędzie na stawie mają brudne szyje — nie chciałem do reszty rozdrżniać narzeczonej.

Na jednej kolumnie, obok upstrzonego różnorodnymi inicjałami dziewczęcego serca, widniał napis:

JA TU NIE MIESZKAM...
...ZE WZGLĘDU NA ZAGĘSZCZENIE LOKALU... dopisała pod spodem narzeczona i roześmiała się pierwszy raz od półtorej godziny.

Wykorzystałem moment, by ją przeprosić za tamte nietaktowne uwagi i błagać o przebaczenie.

Przebaczyła mi łatwo, zresztą zmierzach już zapadał, a jak w tym miejscu o zmierzchu nie pogodzić się dziewczynnie z chłopcem?

Aby przypieczętować naszą zgodę narzeczona zaczęła nawet opowiadać mi ciekawostki o parku i o „bohaterskich” chłopcach z „Wólki”.

Drgnęło moje reporterskie serce i poczułem, że zamiast ręki narzeczonej ścisnąm już otwarty notes. Niestety, ciemności nie pozwoliły mi notować... Obawiam się, czy wszystko spałniałem.

LESZEK WITCZAK

BOHATERSKA

ILUSTROWAŁ IBIS — GRATKOWSKI

„PATELNIĄ”

Tak prozaicznie nazywano kiedyś miejsce, na którym staliśmy z narzeczoną. Trochę mnie to speszyło, bo miałem chętkę w reportażu porównać owych parę kolumnienek do ruin rzymskiego Colosseum (gdzie, jak wiadomo z magazynów, błądzą kochankowie przy blasku księżycy). A księżyc właśnie świecił: tylko po gwie „Patelni” mogła błędzić w jego świetle najwyżej jedna para kochanków, z powodu ciemnoty.

Pięć, a może sześć lat temu „Patelnia” była miejscem zabaw tanecznych złotych młodzieńców z okolicy. Towarzystwa dostrzymywały im dziewczęta „podrywano” z parku, albo z pobliskiego „Pekinu” (DMR).

Było tu swobodnie i przytulnie. Akordeon wygrywał, to co umiał jego właściciel (a umiał nie więcej jak 10 melodii), parki tańczyły też to, co umiały. Przytulność zaś dochodziła do tego stopnia, że nie można było zorientować w tłoku kto kogo depcze i szczypie.

Poza tym tańce na „Patelni” miały charakter raczej spokojny, co było zasługą młodzieńców z „Wólki”, trzymających w ryzach obcy element.

paczka Z WÓLKI

na rogach i przed knajpką na Wólczanńskiej, wyprawy do parku i „rozrabianie” okolicznych zabaw.

Mimo niezbyt wielkiej liczebności paczka była bardzo bitna, a pewna zabawa w Monopolu (niezapomniana dotąd przez mieszkańców ul. Kopernika) rozslawiła ją wśród łobuziaków całej Łodzi.

A nie nie zapowiadało, że będzie to historyczna zabawa. W świetlicy Łódzkiej Wytwórni Papierosów wszystko płynęło zwykłym trybem. Tańczono, wymyślano sobie od czasu do czasu. Przy bucie trękali się „szkłem” młodzieńcy zbyt poważni do tańców.

Przyszli co prawda dwaj zabijacy z Balut, słynni bracia Cabani, ale obecni na sali chłopcy z „Wólki” szybko ich unieszkodliwili. Pogoniono się trochę po scenie, rozbito bęben, skrzypce i bracia Cabani uszli przed przemocą. I nie by nie zmąciło nastroju zabawy, gdyby po pewnym czasie bracia Cabani nie wrócili wiodąc za sobą Baluty, „Alejke” i Karolew. Paczka z „Wólki” ustępowała im liczebnością, ale zdążyła się uzbroić w puste butelki z bufetu i krzesła.

Bitwa zaczęła się w świetlicy, na górze; wytłuczono resztę in-

strumentów (jeden z muzyków wskoczył na fortepian i siedział tam drząc przez cały czas bójk).

Epilog rozegrał się na kołach łbach ul. Kopernika. Tramwaje stanęły. Ruch pieszny na 15 minut zamarł. Fala walczących kołysała się to w jedną, to w drugą stronę. Z okien leciały szczątki krzesel i butelki.

Wreszcie szala zwycięstwa przechyliła się na stronę dysponującą lepszym uzbrojeniem „Wólki”. Niemal dwukrotnie liczebniejszy przeciwnik umknął z pola walki.

Innym, anegdotycznym już wyrazem zwycięstwa z Monopolem była wyprawa na odwiecznego wroga: „Alejki”.

Wyprawa, wierna tradycjom narodowym, uzbroidła się w stare, antyczne szpady.

Chłopcy z „Alejki” na swej rodzimej ulicy — al. 1 Maja, ponieśli wtedy smrotną klęskę. Wechodząc biedacy przez podwórza i ploty, a zwycięzcy deptali im po piętach, kłując maruderów owymi antycznymi szpadami...

Wspomniane dzieje paczki chłopców z „Wólki” zamykają się, podobnie zresztą jak dzieje innych paczek, w latach 1949—1955.

Po tym okresie czy to z powodu upadku ducha bohaterskiego, czy wyrośnięcia prowodyrów z szaleństw młodości, paczka rozleciała się.

Kobieciny wysiadujące latem przed kamieniczką na ul. Wólczanńskiej (nad biblią albo cerowniem skarpet) nie żegnają się już na widok „Hannibalów”, ruszających wprost w knajpkę na „podbój świata”.

I w parku Poniatowskiego spokojnie jak u Pana Boga za piecem.

Aż dziwię się, spacerując jego alejami z narzeczoną, że spotkała mnie tu kiedyś tak przykra przegródka... z powodu rozwiązanego sznurowadła.

WYJAŚNIENIE DO TEKSTU:

1) Lokal rozrywkowy, prosperujący w głębi jednego z podwórz przy ul. Piotrkowskiej. Oficjalna nazwa lokalu: „Sielanka”. Wśród bywalców po prostu „beton”.

Po wielokrotnych petycjach lokatorów „Sielanka” została zamknięta przez milicję.



rozwiązało mi się owo nieszczęsne sznurowadło... Rąbnąłem wprost w kałużę. Przechodnie mieli niemądre miny, a panienki i dryblasy trzęśli się ze śmiechu jak w boogie-woogie. Podniosłem się i odszedłem/wlokąc za sobą błotnisty szlak hańby.

Tak przez rozwiązane sznurowadło obrzydziłem sobie na długo park Poniatowskiego i królujących w nim „bohaterów” z pobliskiej „Wólki”.



„JA TU NIE MIESZKAM”

Ale czy mogłem o tym wszystkim opowiedzieć narzeczonej?

Mojej lubej nie udało się wprawdzie rozplakać, lecz to tylko



BOHATERSKA PACZKA Z „WÓLKI”

Chłopcy należący do paczki rekrutowali się przeważnie z ulic: Wólczanńskiej, Świerbskiej, Żeromskiego i Gdańskiej.

Ponieważ była to szanująca się paczka, aby się do niej wkuć należało mieć końską głowę do alkoholu a na sumieniu pewną ilość rozbitych nosów albo uwiedzionych dziewcząt.

NOWELIERSZCZYN

ZIMA

Śnieżnica dniem i nocą jak młyn kołowała,
dzień z nocy się wytaczał niby kula biała,
obrasła w mgłę i ciszę, w nowe śnieżne puchy,
i znowu w noc zapadała, niepewny i kruchy.
Ruiny, owinięte jak w bandaże w zawieję,
odwijały się z mroku jak z zamieci dzieje.
Śnieżnica, wzbита wicherem z obu brzegów Wisły,
była jak biały orzeł nad krajem zawisły.

O zimo, przemieniona w złudnych zwycięstwach żniwa,
gdy przyszedł gniew i zemsta, zemsta sprawiedliwa,
gdy zaczęła się armat rosnąca muzyka,
ta, która mrok rozpruwa, która świat odmyka!
Czołg po czołgu z gardzieli wydychała zorze.
Góra zorza a pod nią pociski ziemie orze.
Przełot gwiazd, jakby iskier z parowozu, szybki:
helmy, helmy, papachy, wśród nich rogatywki!

Grzmijcie, organy huk, akordami ognia,
niech pada w proch i popiół niewola i zbrodnia!
Wzywamy was, lotników i artylerzystów,
mówcie do nas językiem błysków i pocisków!
Wyprowadźcie nas z nocy w jasne światła dzieje,
każdy strzał wasz, to słońce, od którego dnieje!
Gasił nadzieje wrogów, a rozniecał nasze,
błyskawicami zionąc, ciężki katusz kaszel.
W nasze uszy ię echa, w nasze oczy błyski,
a w gniazda wrogów były celne ich pociski.
Pewność w nas od wystrzału rosła do wystrzału,
aż wreszcie strzał ostatni oddał nam ją całą.

Zimo nadziei, nasza pamięta cię ziemia,
kiedy wróg jak śnieg topniał. A naród? Oniemiał.

Czyż mogło być inaczej, gdy wyszło inaczej?
Ten orzeł bez korony, panie, co on znaczy?
Ten orzeł bez korony, to był symbol lenna.
Lecz teraz jest historia inna i odmienna.

Czemu orzeł piastowski, a nie jagielloński?
Trudno, będzie piastowski lub nie będzie Polski.
Był Grunwald jagielloński, a piastowski Płowce,
nie wchodzi w dzieje, bo zejdziesz, bracie, na manowce.

Teraz Płowce i Grunwald w gromie Stalingradu
ostatecznym zwycięstwem na wrogu się kładą,
dymy z katusz pod niebem wiją się i snują
i one orla w chmurach ogniem koronują,
wstrzeliwując w te jego koronę brylanty
pocisków, choć brylantom i koronie anty.

Biegnij za trasą strzałów, odgon majak złudy,
ojezyzna z innej teraz wytapia się rudy.

Ileż zim na tę jedną złożyło się zimę,
ileż klęsk tryumfalnych na tę jedną burzę —
pada śnieg, mróz krew ścina, pada śnieg i różę
splątane dzieje obce i dzieje rodzime.

Zimo nadziei! Nasza pamięta cię ziemia,
kiedy wróg jak śnieg topniał. A naród oniemiał.

ELEMENTY

Zyjemy w świecie nieprawdopodobnym
na ziemi gorzkich rozczerowań
pod niebem realizujących się chimery

Wiatr nam w oczy grad piasek i sól
wśród obłoków jałowych nadziei
błyski komet sztuczny księżyc lub meteor

Ciężkie bagaże deszczów widmowe burze
fenomeny milczenia z igieł nerwów
wytryskują ognie świętego Elma

Nawet kiwnięcie palcem w bucie
wpływa na obroty odległych mgławic
promieniowanie kosmiczne porusza młynek do kawy

Piorun o ładunku stu milionów V
jest mdłą zapalką w porównaniu
z potencją energii jednego atomu

Od galaktyki do galaktyki
bliżej niż od bieguna do bieguna
za pięć minut dosięgniemy pierścieni Saturna

Mózg solarium cielesne centrum wegetacji
entropia działa w sferach intelektu
myśli po wiekach świecą niegorzej od gwiazd

Czaszka ludzka puszcza Pandory
źródłisko snów laboratorium dziwactw
mikrokosmos o proporcjach z czwartego wymiaru

Rozum bez serca geniusz konsekwencji
potworna wola mistycznej dyscypliny
drobnoustroje regulują wiek mastodontów

Człowiek człowiek konieczność z przypadku
pleśń planety nowotwór telluryczny
jedność w wielości sprzeczność uregulowana

Pokarmy ziemskie wino melancholii opium smutku
alkohole marzeń i złudzeń haszysze entuzjazmu
mieszkalnice wiadomości poza dobrem i złem

Ziemia obraca się dalej punkt w kosmosie
astronomiczny układ wzorem ładu
świat szuka zbawienia w cudach cybernetyki

ZIEMIA

O wielkiej globie ziemski
tyś jak winne grono
pokarm trunek truciznę
kryje twoje łono
treść odżywcza
słoneczny sen
ostrą podniecie
przypominając grono
małą planetę



Mariana Piechala
ZEGAR

Z KUKUŁKA

Rzeczywistość nasza
to zegar z kukułką
z entuzjazmem prężnie
zakręconym w kółko

przepliwają dzieje
mijają godziny
popychane siłą
tej w środku sprężyny

rzeczywistość nasza
to zegar z kukułką
z nakręconą sprężyną
raz i z jakimś czasem

wyskakuje kukułka
a kuku a kuku
potem szepty sekund
sen ogarnia nas

aż wybije godzina
i znów kuku a kuku
i tak w kółko

rzeczywistość nasza
to zegar z kukułką

WYZNANIE

Ja dym z twego dymu
ja pył z twego pyłu
o miasto jedyne
Łodzi robotnicza
byłaś mi kolebką
będziesz mi mogiłą
niech los twój mój słowem
dalej się użycza

Ja i kra z twych iskier
ja sadza z twej sadzy
oprócz słów na świecie
nie mam innej władzy
z sadzy twej i dymu
są me słowa wszystkie
z krwi twojej z krwi mojej
z twych bruków i z iskier

Każda twoja cegła
każdy kamień z bruku
pamięta mą młodość
zbiegła w krosień stuku
z twych krosień z ich rytmu
przedza mego życia
koszulka dzielecia
całun do przykrycia

Jestem mniej niż matką
więcej niż macochą
ta prawda dla ciebie
czy i me, nie umniejszaj
nie lepszy nie gorszy
niż proch z uli prochu
ja z twoich poełów
tobie najwierniejszy

13. XII. 1957

Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazał się tom poezji
Mariana Piechala, zawierający wiersze z całego okresu jego
twórczości.

Przykładem „Szopki krakowskiej”, które nam zaprezentował pan Roman Reinfuss. A warto wspomnieć, że roku pańskiego 1957 sam pan nadburmistrz Filadelfii zwracał się najuprzejmiej do Jego Ekscelencji Pana Burmistrza m. Łodzi, o nadesłanie na święta szopki — takiej, jakie bywają tylko u nas i nigdzie na świecie.

Święta, święta i już po świętach! Ale — zdaniem naszej P.T. Redakcji Naczelnej — na szopkę i na sprawy bregol

plastyczne zawsze jest czas. Nie upadajmy na duchu. Hej, koleś, koleś... No, to sobie zaśpiewajmy. Po staropolsku:

„Co na świecie jest dobrego, co na świecie gruntu — gozalecka gruntu — i tabacki funt, funt”.

Cyk! Za pomyślność wszelkich budow, za dobre wystawy plastyczne, za postępy na Kakajotpe! Wszystkiego do — na szopkę i na sprawy bregol



Szopka krakowska. Autor nieznan. Ze zbiorów Muz. Hist. m. Krakowa. Fot. A. Piotrowski.



KORRESPONDENCYJNY KURS JĘZYKA
PLASTYCZNEGO
Nr 8

pod redakcją
HENRYKA ANDERSA

Zgodnie z zarządzeniami Wyższych i Takich Sobie Instancji podaje się do wiadomości, że ferie świąteczne trwać będą do następnego numeru „Palety”.

Dyrekcja Kakajotpe

Jak ferie, to ferie: pogwarzmy sobie o rzeczach przyjemnych.

Milo mi donieść naszym P.T. Plastykom, że w Paryżu — naprzeciw wyspy Świętego Ludwika i frontem na katedrę Notre-Dame — stanie nabawem Międzynarodowe Osiedle Sztuki. Będzie to kompleks budynków z 250 pracowniami i mieszkaniami, z salami wystawowymi i wykładowymi, z kawiarnią itp., itd. Na podstawie projektów pana Eero Snellmana, fińskiego malarza oraz pana Feliksa Brunau, francuskiego architekta plany sporządził pan Feliks Tournon, a ichnie MKPG plany te zatwierdziło. Chodzi zresztą o bagatelkę — cała impreza ma kosztować odrobinę ponad 2 miliardy franków, subwencje państwowe i miejskie już są, oczekuje się teraz na przybycie-

nie wpływy ze składek innych narodowości. Budowa ruszy na wiosnę i miejmy nadzieję, że skończy się wcześniej nim zaczniemy wykopywać pod sławetną łódzką Galerię. Czego zresztą autor nie życzy ani Wam, ani sobie, ani naszemu Wydziałowi Kultury.

Założenie w Łodzi Galerii to fakt na miarę historyczną, a więc w Historii musi znaleźć swoje odbicie. Przed pięćdziesięciu laty pan Zygmunt Bartkiewicz, pisarz urodzony w Łodzi, przystąpił do organizowania „stałej wystawy malarstwa i rzeźby”. Ale mu się nie powiodło. Oczywiście. Nie wiedzieliście o tym? Nie czytaliście, widocznie, uroczych „Gawęd” pani Heleny Duninówny.

Już to myśli chadzały dziwnymi drogami: rozmyślałem o Galerii a przypominała mi rzecz ściśle świąteczna — szopka.

Jeśli to ktoś weźmie za aluzję, sam sobie winien. Szopka — choć mniejsza od międzynarodowego osiedla — również coś z architektury. A często nie byle jakie dzieło sztuki.

WYZNANIE BARBARZYŃCY

Pobyt w każdym większym mieście Italii rozpoczynałem zawsze od złożenia samemu sobie solennej przysięgi, że tym razem poświęcę się całkowicie tak zwanej poważnej turystyce, to znaczy zwiedzaniu zabytków, o których wprawdzie napisało już tomy, ale które — tak mi się przynajmniej wydawało — wciąż jeszcze potrafią skłonić obserwatora do napisania czegoś nowego, zapłodnią go, podniecą, oświecą, natchną — czy jak się to tam mówi. Italia — kolebka europejskiej kultury. Italia — kraj bezcennych ruin i jeszcze cenniejszych niezrównowanych obiektów. Czy mogę przejść obok nich obojętnie? Wtargnąwszy do hotelowego pokoju rzucałem nerwowo walizki na łóżko, rozkładałem na stole bedekery i mapy, wyciągałem podręczniki historii, krótko mówiąc zagłębiałem się w studia, których rezultatem miał być w przyszłości gruntowny reportaż „na tematy kulturalne”.

Dobry to bywał początek, dopiero dalsze kroki okazywały się zgubne. Brałem pod ramię Carla Cisventi, mego przyjaciela i przewodnika w jednej osobie — i szliśmy konfrontować nasze wiadomości teoretyczne z rzeczywistością, oglądaliśmy świątynie, pałace i temu podobne relikty historii. On mówił, ja notowałem. Po zakończeniu takiej wycieczkowej tury odczytywałem zapiski... I zawsze przykra niespodzianka! Okazywało się, że nie zdałem egzaminu: nic nie wychodziło z tej poważnej turystyki. Kto tutaj był winien? Ja? Może Carlo? A może obaj?

Nieszczególne notatki przetrwały w moim dossier. Przedstawiam je teraz czytelnikowi nie bacząc na ich wysoce niepoważny charakter. Mówią bowiem o przyczynach naszej wielkiej kompromitacji w sposób niewątpliwie szczerzy — a szczerść przecież stanowi z reguły o-koliczność łagodzącą przy wszelkich przewinieniach...

Piza... Krzywa wieża wygląda z bliska jakoś niepokojąco, za bardzo jest znana z widokówek, a przy tym stoi pośrodku miasta, które atmosferą przypomina Piotrków Trybunalski. Co tu dużo mówić — głębocka prowincja; przeżywała kiedyś wielkie dni, lecz zostało tylko z tamtych czasów sławne

imię, nie więcej. Czułe pary obejmują się na bulwarze, dzieci bawią się w Indian. Ich skromne wyszarżale ubranka kolidują wyraźnie ze strojnosciami indiańskich pióropuszy. Spokój sennych ulic, z rzadka tylko przerywany warokotem amerykańskich maszyn; prowincja przypadkiem rzuciona na „obowiązkowy” szlak turystyczny.

— Podobno ostatnio jeszcze bardziej się wykrzywiła? — pytam głupawo.

— Możliwe... — mówi Carlo bez zainteresowania. On również całą uwagę skupia na grupie Indian, usiłujących zakutę zdjąć „białego człowieka”.

— Tutaj się urodziłem — dodaje.

— Ruchy tektoniczne, co? — zapytuje dalej. I rozmyślam o tym, jak trudno się z takiej prowincji wydobyć, jak forsownie trzeba walczyć, żeby wypłynąć na szerokie wody wielkich miast. I po co to wszystko? Po to, aby zatęsknić w końcu do tamtych dawnych niepozornych miejsc, gdzie żyło się prosto i dobrze. Historia „Walkoni”, to tylko część prawdy.

— Mój ojciec, zanim zachorował ciężko... — rozpoczyna Carlo.

Nie, w tym mieście turystyki uprawiać nie będziemy. Przewodnik za wiele ma do opowiedzenia

o samym sobie. Szczegółów jego życiorysu przytaczać tu nie będę — nie należą do sprawy. Siedliśmy na murku w cieniu platana gwarzyliśmy o Indianach. Nie jeden z nich, przybrany w strój triumfalny lokalnego wodza wyruszył w światoburczą podróż, zatoczył rundę i powrócił do punktu wyjścia. Rozgoryczony przysiadł na murku w cieniu platana i zwierzył się przyjacielowi, że właściwie wszystko jest tylko kwestią przyzwyczajenia do pewnego standardu i do pewnej skali, że Piza niewiele ustępuje takim koleśkom, jak Rzym i Mediolan — trzeba tylko zaaklimatyzować się ponownie... Ludzie natomiast wszędzie są tacy sami...

— No dobrze, a co powiesz o krzywej wieży?

— Co tam wieża... Kto tutaj urodził się i wychował, ten nawet jej nie dostrzega. Zabytki? Odlóżmy te sprawy na Florencję...

Stoję przed Palazzo Ducale, zamieszany w tłum rycerzy, mieszczan i halabardników. Ubiory ich bogate, broń święta, solidnie odkuta przez płatnerzy. Marsowe twarze florentyńczyków wylaniają się spod aksamitnych kapturów: nosy krogulce, policzki ocienione granatowym zarostem, ogniste oczy. Odczytuję na tych obliczach piękno namiętności, które stały się źródłem długotrwałych i krwawych walk. Skłócone ze sobą różne rody, gwelfowie i gibelini, Biali i Czarni, pojedynki w ciasnych uliczkach, skrytobójcze gwałty, sądy nad zwyciężonymi...

Wysoko nad głowami rycerzy majestatyczny Dawid, posąg Michała Anioła. Jest również piękny jak w podręcznikach historii sztuki, ale znacznie prawdziwszy: na jego głowie uwiły gniazdo gołębie, paskudzą niemilosłownie na marmurowe dzieło, a nikt nie ma zamiaru ich stamtąd spędzać.

Halabardnicy formują się w szyk trójkowy — ostatnia okazała do przeprowadzenia wywiadu. Jakże zadać pytania? O stopie życia



Tak wyglądają dzisiaj mieszkańcy Tarkwinii — potomkowie tajemniczych Etrusków

we w średniowieczu? Czy znają Dante'go i co wiedzą o warształowej stronie jego twórczości? Co to w ogóle za gość był ten Dante w życiu prywatnym — czy równie heca odbywa się na niby — z okazji jakiegoś miejskiego święta. Pobrzękując mieczami kolumna ruszyła z miejsca i zniknęła z wolna w bramie Palazzo Ducale. I tak to rozwiała się jedyna możliwość uzyskania informacji o średniowieczu od żywego człowieka. Co teraz mogą mi opowiedzieć martwe mury, druk i obrazy?

Powiecie, że to była bzdurna zachcianka, ale przecież nie ja pierwszy zatęskniłem do wehikułu czasu...

Jadę na górę położoną po drugiej stronie rzeki. Panoramę miasta widzieć stąd jak na dłoni — to coś warte. Pośrodku skwerka wznosi się brązowa kopia Dawida, równie wielka jak oryginał, ale czysta, wyglansowana i nudna. Wiejska rodzina robi sobie

zdjęcie ślubne na tle przepięknej Florencji; fotograf koryguje ich śmieszne pozy, wieśniacy zażenowani są obecnością gawiedzi. Wynika krótka sprzeczka między teściową a świeżo upieczonym zięciem, pewnie pierwsza, lecz nie ostatnia. Ta sprawa pochłania mnie całkowicie. O zabytkach będę pisał w Tarkwinii.

Tarkwinia, niegdyś jeden z najpotężniejszych ośrodków kultury etruskiej...

Tutaj sytuacja diametralnie się zmienia, bo Carlo interesuje się Etruskami od dziecka. Prowadzi mnie do muzeum, gdzie na sarkofagach spoczywają tłustawi obywatel Tarkwinii z kielichami w rękach; widać, że cenili sobie żywot wygodny i swoim stylem życia lubili chwalić się nawet po śmierci. Na grobowcach napisy dotąd nie rozszyfrowane; alfabet etruski, składający się z dwudziestu dwóch liter fenickich i czterech greckich zbadano już gruntownie, bez większych wszelako rezultatów — tylko odnalezienie napisu dwujęzycznego, to znaczy tłumaczenia z etruskiego na jakiś „ludzki język”, mogłoby problem rozwiązać. Dotychczas poszukiwania za takim „brykiem” spełzyły

JERZY

URBANKIEWICZ

Żart i prawda o rozwodzie

CZESTO TAK BYWA, ŻE ROZMOWA PROWADZONA DLA ŻARTU I ROZRYWKI PRAWEM SKOJARZEN WKRACA W DZIEDZINĘ SPRAW POWAŻNYCH, CZASEM NAWET TRAGICZNYCH. TAK SIĘ WŁASNIE STAŁO, KIEDY W PRZYJACIELSKIEJ POGAWĘDCE Z ADWOKATEM EDUARDEM KROLEM PADŁO SŁOWO „ROZWÓD”. PADŁO PRZYPADKOWO I W PIERWSZEJ CHWILI WYWOŁAŁO Z PAMIĘCI ANEGDOTĘ, BA, SERIE ANEGDOT, ZACZERPNIĘTĄ Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

A więc w stanie Texas pewna kobieta otrzymała rozwód na tej podstawie, że jej mąż wylącał swój aparat wzmacniający słuch, ilekroć żona zwracała się doń z... przemówieniem.

W Los Angeles sąd dał rozwód kobiecie skarżącej się na to, że mąż zabraniał jej czytania książek, bo nie chciał by była mądrzejsza od niego.

W Minneapolis żona uzyskała rozwód, gdy dowiodła, że mąż ożenił się z nią jedynie

po to, by wygrać zakład, którego stawką był litr wódki.

W Cleveland kobiecie dano rozwód, gdyż miała tak okrutnego męża, że zmusił ją do ośmiudniowej diety o chlebie i wodzie. I aby być pewnym, że nie wylamie się spod jego nakazu, brał ją ze sobą do pracy.

Pewna mieszkanka Waszyngtonu dostała rozwód, gdyż mąż poślubił ją tylko na złość jej matce i nawet jej ani razu nie pocałował.

W miejscowości San Jose w Kalifornii...

Te długą listę tak oryginalnych przyczyn rozwodu przerwał mi adw. Król słowami:

— Być może, że dziwactwa Ameryki wkroczyły i w tę dziedzinę. Poza tym małżeń-

stwo, miłość, rozwód — to tematy chętnie wykorzystywane przez humorystów i karykaturzystów. Być może dlatego że właśnie w tych sprawach ludzie wykazują tak dużo niekonsekwencji, że dają powody do śmiechu. Ale — dają powody nie tylko do śmiechu. Kulisy spraw rozwodowych rzadko kiedy są znane społeczeństwu. Z tej prostej przyczyny, że rozpatrywane są przy drzwiach zamkniętych. Z osób zaś uczestniczących w rozprawach sądowych, chyba adwokat może najwięcej na ten temat powiedzieć, gdyż klienci jego właśnie wtajemniczają w najdrobniejsze szczegóły swego pożycia małżeńskiego, szczegóły tworzące to małżeństwo i je rozbijające.

— Duża ilość rozwodów — to jedno z poważniejszych zagadnień naszego społecznego życia. Czy wyrażoną przez Piana opinię mogę uważać jako sugestię, że właśnie Pan styka się z tymi sprawami i zna ich kulisy?

— Tak. Właśnie to chciałem powiedzieć.

— Czy więc obowiązkiem strażnika tajemnicy zawodowej nie przeszkodzi Panu w podzieleniu się ze mną i czytelnikami „Odgłosów” Pana doświadczeniami?

— Nie. Chętnie to zrobię. Nie mam przecież zamiaru opowiadać Panu konkretnych spraw rozwodowych, ale wyciągnę wnioski z dużej ich ilości.

— Właśnie, o to chodziło. A więc, Mecenasiu, przyczyny. Jakże są u nas przyczyny rozwodów?

— Jest ich niemało. Wspólnym tłem dla wielu są oczywiście pewne trudności gospodarcze. Zaczynam od nich nie dlatego, bym je uważał za decydujące. Przeciwnie, jest wiele rodzin o skromnej stopie życiowej, dla których małżeństwo jest właśnie pomocą w walce z przeciwnościami. Ten, kto dostarcza środków utrzymania — a więc przeważnie mąż — ma w ich zdobyciu tyle trudności, że chciałby w swoim domu znaleźć odpocznik po tamtych kłopotach. Prowadziłem wiele spraw roz-

wodowych, w których początek nieporozumień leżał właśnie w tych chwilach rozczarowania, kiedy to zmęczony męża żona spotykała nowymi kłopotami, skargami, brakiera wyrozumiałości dla jego zmęczenia. Atmosfera domu zdecydowała o tym, czy mąż będzie się starał w nim przebywać, czy też poszuka sobie odpoczynku i spokoju gdzie indziej. Kobiety często same nie zdają sobie sprawy z tego, że to one pchają męża do knajpy. Nie wolno jej być inną po ślubie, niż przed. Obraz niechlujnej i opryskliwej żony wobec wspomnienia młój i schłodzonej narzeczonej jest wystarczającym powodem, że mąż zacznie szukać odpoczynku poza domem.

Inną, bardzo często spotykaną przyczyną jest młody wiek małżonków, ich brak doświadczenia w sprawach życiowych, najogólniej rozumianych. Młody człowiek, który osiągnął wzajemność drugiej strony przeważnie nie zdaje sobie sprawy, że wchodzi w ciągłe obcowanie z drugą indywi-

dualnością. Że po ślubie zjawia się mnóstwo spraw, które dopiero zadecydują o charakterze związku. Trudności polegają głównie na umiejętności tolerowania obok siebie drugiego „ja”, szanowania go. W wielu prowadzonych przeze mnie sprawach przyczyna była jeszcze inna. Jeden z małżonków uznawał w drugim bożyszcze, uwielbiał go bezkrytycznie, czym stworzył w drugiej stronie taki przesyt sobą, że ta ostatnia zaczynała szukać jakichś nowych zdobyczy. To już leży w naturze ludzkiej, że osiągnięta nie bawi długo. Toteż trwałe bywają te małżeństwa, w których obie strony znajdują się w stanie ciągłej troski o drugą osobę i o jej stosunek do siebie.

Mówiąc o chorobie społecznej, jaką są rozwody, nie sposób pominąć innej — alkoholizmu. Pijaństwo w małżeństwie, to zdecydowana podstawa rozkładu rodziny. Jeśli takie małżeństwa utrzymują się, to zazwyczaj skutkiem wyrzecz drugiej strony. Miałem klientów, o charakterze anio-

na niczym, w związku z czym dalej o Etruskach nie pewnego się nie wie. Co to za lud, skąd przybył, jakie są jego późniejsze dzieje? Odgrzebywanych grobowców przybywa, a tajemnica nadal pozostaje tajemnicą.

— Są trzy teorie — objaśnia Carlo.

— Zawsze bywają trzy teorie, jeśli nie cztery. Ale powiedz mi lepiej, dlaczego pasjonujesz się właśnie Etruskami?

— Dlatego, że nic o nich nie wiadomo. Otwarte pole do gry wyobraźni. Wolno mi teraz na przykład myśleć, że przybyli z Atlantyd. To wszystko się skończy, kiedy uczeni odczytają pierwszy tekst...

Nie, stanowczo nie mogę karcić czytelników fantazją i domysłami. Poważny reportaż napiszę dopiero o Pompei, tym niezwykłym, jedynym w swoim rodzaju wielohektarowym zabytku...

I oto jesteśmy w rzymskim mieście, niemal w całości odgrzebanym spod popiołów. Kamienne domy, mury ogrodów, świątynie, teatr — wszystko w komplecie. Nie kłamano w podręcznikach szkolnych — są malowidła na ścianach, są kunsztowne mozaiki, są napisy wyborcze. Upał nieznosny, jak gdyby docierał tu jeszcze gorący oddech krateru Wezuwiusza. Zachował się nawet i starożytny podział klasowy: włoscy niewolnicy noszą w lektyce amerykańską turystkę; swoją drogą musi to być specyficzna



Zdjęcie ślubne na tle panoramy Florencji...

przyjemność... My — ani zbyt biedni, ani zbyt bogaci — idziemy po prostu plechotą. Kroczymy w nabożnym milczeniu, pełni szacunku dla starożytności. Niekiedy profanacja wydaje się nam fakt, iż stąpamy po bruku układanym przed dwoma tysiącami lat przez bezimiennych niewolników. Wystarczy przymknąć oczy, aby uj-

rzeć snujących się ulicami dostojnych patrycjuszów, atletycznych gladiatorów, krzykliwych kupców... A potem ten kataklizm! Chmury rozpalonego popiołu spadają na miasto, fale trującego gazu duszą przechodniów, kto żył jeszcze, ten panicznie ucieka do domu, barykaduje się — wszystko na próżno...



Czcigodne kolumny Rzymu bywają często przytulkiem nędzarzy...

— Przeklęta gorączka — narzeka Carlo.

— Gorąco, gorąco — wtóruję mu ponuro. Ten upał i ta gigantyczna wizja, stanowczo nie na moją miarę... I to nie kończące się odczytywanie (a raczej wysiłki w tym kierunku) łacińskich napisów, na pół zatartych fresków, kombinowanie, jaka to kolumna, a jaki portal...

opiekują się mną chętnie, choć, kiedy wylaniają się przed nimi dosyć istotne trudności.

— Ja się nie liczę — mówi Carlo — nie odróżniam jednej kolumny od drugiej, za wiele ich tutaj... Raz wszedłem z grupką turystów do Pantheonu i dowiedziałem się wreszcie czegoś o tej budowli — przewodnik grupy objaśniał dosyć ciekawie...

— Mogę pojechać z panem do Colosseum — rzecze panna O., rodowita rzymlanka. — Byłam tam wprawdzie tylko raz w życiu, ale od czasu do czasu coś się o nim słyszy. Teraz na przykład jakieś przedsiębiorstwo rozrywkowe wystąpiło z projektem zorganizowania walk zapasniczych na starej arenie. Pan rozumie? Atleci, gladiatorzy, służba w starożytnych strojach... Konserwatorzy zabytków stawiają jednak veto, powiadają, że budowa nowoczesnej widowni grozi może rozwaleniem murów...

Zwiedzam rzymskie zabytki w blaskawym tempie, wysłuchuję informacji kolegów, że zgroza jednak zauważam, iż w pamięci pozostaje mi tylko to, co najmniej ważne, tylko to, co dotyczy dnia dzisiejszego...

W gorące południe Carlo, wiezie mnie za miasto antyczną Via Appia. Samochód podskakuje po kociach łbach z czasów Juliusza Cezara. Parkujemy wóz obok wejścia do rzymskiej świątyni. Widać stąd panoramę Rzymu, miasta rozrzuconego na siedmiu pagórkach. Białe wille grzeją się w słońcu jak przed dwoma tysiącami lat, z tej odległości niesposób doszreć, że wyposażone są w przewody gazowe i instalacje elektryczne. Układamy się na trawie w cieniu cyprysu, tak jak to niegdyś czynili strudzeni legionści powracający do Wiecznego Miasta z dalekich wypraw. Nad naszymi głowami pomykały obłoki, bez wątpliwości takie same, jak za Juliusza Cezara. Nie myślimy już o starożytnych Rzymlanach — jesteśmy nimi.

Wszystko w porządku — ale co z poważnym reportażem?

Aż oto naraz robi mi się źle, jak gdyby nawet chłodniej. Coś niby lekki zefirek przemyka po rzymskim dziedzińcu. Wpatrując się w stare czcigodne malowidło, odnajduję pośród wyblakłych twarzy flecistów wyskrobany scyzorykiem napis:

ALFREDO KOCHA JULIĘ 1952

Nareszcie coś swojskiego, przypominającego Polskę. Młody wandał — których jak widać i tutaj nie brakuje — popełnił niewątpliwie ciężkie przestępstwo i godny jest surowego potępienia. A jednak żywię dlań coś w rodzaju wdzięczności, że ściągnął mnie na ziemię z rejonów, w których nie powinienem przebywać. Któż z nas siedząc na uroczystej akademii nie zapragnął nagle, aby na udekorowaną scenę wkroczył żebrak z fujarką i cdańczył kankana na przydzielonym stole? Komu na oficjalnym przyjęciu nie przyszła do głowy myśl, by podkraść się cicho do czcigodnego jubilata i wyciąć mu przyczekę w nos?... Drzemiące głęboko w nas barbarzyństwo daje wspaniałe możliwości wytchnienia.

Ale co będzie z poważnym reportażem „na tematy kulturalne“?

Rzym, tylko Rzym może mnie uratować...

Elegancka kawiarnia na Via Veneto, w sercu Wiecznego Miasta. Moi włoscy koledzy ustalają, kto z nich najbardziej nadaje się na przewodnika po Rzymie. Chęci mają dobre, za-



Via Appia Antica — miejsce wypoczynku nowoczesnych Rzymian

• DOKOŃCZENIE •

Zart i prawda o rozwodzie

łów na trzeźwo, a którzy maltretowali żony po pijanemu. Są to zresztą sprawy dobrze u nas znane. Znam wypadek, kiedy żona człowieka z wyższym wykształceniem, zwróciła się do sądu o rozwód tylko po to, by stworzyć w ten sposób wstrząs, który by wyleczył męża z alkoholizmu. Pomogło. Niestety, na krótko. Dziś nie są małżeństwem.

Małżeństwo nie powinno być więzieniem. Warunki dzisiejszego życia, konieczność pracy dodatkowej, powodują inną konieczność: stykania się z ludźmi czasem dłuższego przebywania poza domem. Wyciąganie w takich wypadkach nieuzasadnionego wniosku o rozwód, to fakty wiodące wprost do rozwodu. Nie ma trwałych małżeństw bez wzajemnego zaufania.

Wiele spraw rozwodowych, to sprawy nieszczerze, uzasadnione wykretnymi, nieprawdziwymi przyczynami. Zdarza się to wtedy, gdy następuje przesył współżyciem, Zdarza

się też, że ktoś, np. rodzice starają się wpłynąć na zawarcie związku wbrew życzeniu ich dziecka. Oczywiście w trwałość takiego związku należy wątpić.

— Czy można by określić, w jakich sferach rozwody są częstsze?

— Nielatwo odpowiedzieć na to pytanie. Małżeństwom biedniejszym trudno się zdecydować na rozwód. Przede wszystkim pociągają do za sobą rozdział mieszkania — to nie jest dla żadnej strony korzystne. Nie należy zapominać, że sprawa rozwodowa kosztuje. Honorarium adwokackie i wpis sądowy, to razem dość poważna suma. Z grubsza można by powiedzieć, że rozwody są częste w małżeństwach, w których jedna ze stron ma zawód, zmuszający do długiego przebywania poza domem. A więc przedstawiciele handlowi, urzędnicy częściej wyjeżdżający w delegacje służbowe, kolejarze, szoferzy itp.

— Czy istnieje jakaś zależ-

ność pomiędzy długością trwania małżeństwa, a możliwością rozwodu?

— O tak. To się da dość łatwo określić. O rozwód starają się małżeństwa po 1-2 latach pożycia. Są to te młode, nierozważne małżeństwa. Drugi krytyczny okres to 6-7 lat po ślubie, kiedy to czasem następuje przesył. Małżeństwa, które ten wiek minęły, są już raczej trwałe. Gra wtedy wielką rolę życie się, przyjaźń.

— Jest rzeczą oczywistą, że w małżeństwach, które mają dzieci sprawa rozwodu przedstawia się jeszcze poważniej. Na pewno zna Pan charakterystyczne wypadki.

— Tak, to smutna sprawa. Znam wypadek następujący. Matka 7-letniego chłopca porzuciła męża i wraz z synem przeniosła się do kochanka (nawiasem mówiąc — przyjaciela męża). Mąż, który dziecko bardzo kochał starał się o to, by je zatrzymać przy sobie. Nie udawało mu się to. Wobec czego, dwukrotnie wykradł je. Zrobiono z tego

sprawę o zakłócenie spokoju publicznego, nie wzięto zaś pod uwagę, w jakiej atmosferze żyje duży już i wiele rozumiejący chłopiec, jak ta wojna prowadzona o niego między rodzicami wpływa na jego psychikę. Sprawy rozwodowe małżeństw, mających dzieci są najtrudniejsze. Zazwyczaj matki przeciwstawiają tu się rozwodom. W trosce o przyszłość dzieci starają się one przeszkodzić rozwodowi, a tym samym możliwości nowego małżeństwa męża, co przecież pociągnie wydatki związane z założeniem nowej rodziny. Wniosek z tego jeden. Wielka jest odpowiedzialność rodziców wobec dzieci i gdzie są dzieci, tam należy wiele się wyrzec, aby utrzymać rodzinę. Skutki rozwodu spadną przede wszystkim na dziecko.

— Czy w powodzi spraw rozwodowych można spotkać osoby, rozwodzące się kilkakrotnie?

— Zdarzyło mi się prowadzić sprawy trzech kolejnych żon tego samego męża. Za

każdym razem o rozwód występowała żona. Ową zaś żonę za każdym razem godził się na rozwód. Trudno ustalić dokładne tego przyczyny. Nie wątpiłem — nie umiał z nimi współżyć. Za trzecim razem sąd obciążył go najwyższymi kosztami za podobnie lekkomyślny stosunek do spraw swego małżeństwa. Człowiek ten należał zresztą do wspomnianych przeze mnie zawodowców, które wymagają długiej nieobecności w domu.

— Sąd więc stara się w jakiś sposób wpłynąć na zmniejszenie ilości rozwodów?

— Oczywiście. Sąd stara się przede wszystkim nakłonić strony do zgody. Jeśli widzi możliwość utrzymania małżeństwa, zawiesza postępowanie w sprawie rozwodowej na okres trzech miesięcy, w nadziei, że okres ten wpłynie korzystnie na stosunki wzajemne małżonków. Niemniej wobec przyczyn, które podalem wyżej, są to sprawy bardzo trudne, i społeczeństwo powin-

no zdobyć się na wielki wysiłek by powstrzymać tę olbrzymią falę rozwodów, jaką u nas obserwujemy.

— Sądę, że nie tylko u nas. Jest to zjawisko dość powszechne w świecie. Uwaga ta w niczym nie może umniejszyć wagi wniosków Pana Mecenasa. Zrobiłem ją raczej po to, by rozmowa nasza wywarła skutek, ale nie przynębiła. Toteż kończąc ją, pozwól Pan, że nawiążę do anegdot, od których rozmowę zaczęliśmy. Otóż w Kansas City jest tak wielki wpływ spraw rozwodowych, że jeden z urzędników Stanu Cywilnego powiedział: „Należy po prostu wydawać świadectwa ślubu wraz z kuponami rozwodowymi, które odedrze się w razie potrzeby“.

„Kto ma pieniądze, niechaj je tu da“

Wylądowaliśmy przed kościołem, w samym sercu Paradyża. Pierwszy widok: biały, kościół za drzewami, niski budynek rady narodowej, poczta, na lewo ruiny, nieco dalej kiosk „Ruchni” i na tylnym planie, już poza osadą, czerwony blok nowowznoszonej szkoły. Niskie, parterowe domy, za domami pola otoczone siwym wieńcem lasów. Prawda a Bogiem wylądowaliśmy z poważną treścią. Który z reportażystów zna dziś dobrze polską wieś? Wczoraj znał ją dobrze. Kulacy wyzyskiwali biedotę, średniacy walczyli się zgodnie z instrukcją, parobek uciekał do socjalistycznej fabryki, trójki skupu osiągały sukcesy, do-jarki osiągały sukcesy, i chlewi-mistrze i mistrze urodzaju, aktywni dopinał dziarsko spółdzielnie, ekipy łączności nosiły światło i kulturę, traktory zdobywały wiosnę, tylko w miastach brakowało masła. Właściwie każdy reportażysta i co drugi powieściopisarz zajmowali się wczoraj wsią, a w ostatnich trzech latach zgodnie ją zdradzili. Jakże podjąć dziś porzucony temat? Pierwsza rozmowa: z dziewczyną z poczty. Imię: Grażyna, osiemnaście lat, wzrost średni, oczy bardzo skośne, ciekawe. Pierwsza informacja: Paradyż jest osada, liczy czterystu mieszkańców, ma siedmioklasową szkołę, pocztę (Grażyna łączy dziennie trzydzieści rozmów międzymiastowych), ośrodek zdrowia, którym kieruje niezwykle uczynny lekarz. Najbliższa akuszerka mieszka w Żarnowie oddalonym od Paradyża o siedem kilometrów. Najbliższy szpital w Opocznie. Do Opoczna — siedemnaście kilometrów. Tamże znajduje się najbliższa stacja kolejowa. W Paradyżu jest ponadto mleczarnia, ośrodek maszynowy. Jeżeli wymieniam te instytucje to tylko dlatego, że ich kilkanaście, a nawet i kilka lat temu nie było.

Pierwsze wrażenia: raczej przyjemne. Przybyła uderza niespotykana gdzie indziej ufnosć, z jaką odnoszą się przypadkowo spotkani przechodnie. Życzliwość wyziera niemal z każdego kąta. Kiedy fotografujemy Grażynę, chłopcy uśmiechają się i do niej i do nas.

Kiedy fotografujemy ruiny pozostałe po ostatniej wojnie chłopcy stojący na planie nie uciekają przed obiektywem. Wiedzą, że zależy nam na „ich portretach”. Udają, że nas nie widzą. Kiedy przechodzimy do gospody, z miejsca znajdujemy wspólny język.

Przed gospodą jest niewielki plac, zatłoczony wozami. Jesteśmy tu zaledwie dwadzieścia minut i czujemy się dobrze. Idziemy do kiosku. Spotykamy znowu Grażynę, więc już teraz familiarnie pakujemy się do środka. Błyskawiczny wywiad: Jak to jest z życiem kulturalnym w Paradyżu?

Paradyż ma dużą salę teatralną, należy ona do Kasy Spółdzielczej. Dzięki „pozytywnemu” ustosunkowaniu się Zarządu młodzież może wykonywać salę na rozmaite imprezy. Zespołem kieruje pan Zalega, pracownik GKS. Zespół przygotowuje sztukę, premiera ma odbyć się na Nowy Rok. Dziś o godzinie siedemnastej jest próba, Grażyna zaprasza nas na nią. Dobrze, przyjdziemy. Jakże poza tym rozrywki kulturalne mają paradyżanie? Od czasu do czasu — raz na dwa tygodnie, albo raz na miesiąc — przyjeżdża do Paradyża ekipa filmowa z Żarnowa. Oczywiście, ekipa za-jedzie tradycyjnym wozem zaprzęgniętym w jedną szkapinę. Raz lub dwa razy do roku urządzi się bale. „Sylwestra” obchodzi się obowiązkowo. Dwa razy do roku są odpusty w miejscowym kościele. A co ze strawy drukowanej? Rzecz nie nowa w „pogranicznych” miejscowościach: prasy łódzkiej ani na lekarstwo. „Odgłosów”, oczywiście, nikt na oczy nie widział. A ludzie dopytują się o gazety z Łodzi. Bowiem Paradyż, chociaż administracyjnie należy do kieleckiego, ciąży ku Łodzi. O milowy skok jest Sulejów, zaraz jest Piotrków, a choć nie widać stąd kominów łódzkich, to Łódź przecięć, a nie skryte za górami, za lasami Kielec, panuje nad okolicą. „Nowej Kultury” przychodzi jeden egzemplarz — „i są zwroty”. „Przeglądu Kulturalnego” nie ma — „i nie ma zwrotów”.

Idziemy teraz obejrzeć kościół. Jest zamknięty, ale z-ciekawiają nas emmentarze. Jeden otoczony krytą galerią wspartą na białych kolumnach, obramowuje prostokątny plac przed głównym wejściem. Widok jest nieco zaskakujący, przypomina, niestety, tylko z ilustracji, Hiszpanię. Na emmentarzu pomniki.

„Chociaż czynny wielkimi —
— Świata nie zadziwił,
Był wprzód:
uszczerbił.”

Rzecz prosta i zrozumiała: nazwiska szlacheckie. Patrzymy na to „okiem bez blasku”.

Stanisławowi Choromańskiemu
Dziedzicowi
Dóbr Trojanowie
zmarłemu
dnia 13 października
1836 roku...

Mikołaj Witwicki, oficer byłych Wojsk Polskich, zmarły, dnia 10 maja 1848 roku, Anicja Lisiewicz, która żyła zaledwie dwadzieścia lat, zakryta darnią, przyściśnięta kamieniem, dawno już „nie podziwia własnych cieni”, ale jak to czytamy w „Elegii napisanej na wiejskim emmentarzu”, „Nawet w popiołach dawne żyją ognie...” A szczególnie tutaj w Paradyżu. W gromadzkiej radzie nam powiedziano: kościół ufundował dziedzic Skórkowski. Zabrzmiło to tak jakby ów dziedzic, którego konterfekt wisi w kościele, zmarł niedawno, za naszych czasów, może na atak serca wywołany reformą rolną. A tymczasem Kazimierz ze Skórkowicz Skórkowski, komornik graniczny opoczyński, pan na Wielkiej Woli, żył sobie temu lat przeszło dwieście pięćdziesiąt. Kamień węgielny pod dzisiejszy kościół został położony w roku 1747, za „najlaskawiej Królestwem Polskiem” rządzącego Augusta III, olbrzymimi barkami Rzeczypospolita wspierającego... Kościół był położony na ziemiach Wielkiej Woli i dopiero w późniejszych latach osada, która powstała przy klasztorze (osiedlili się w nim Ojcowie Bernardyni), przybrała nazwę Paradyża. Osadę nie omijały burze. Po raz



pierwszy spalona została w 1820 roku kiedy to „pożar zniszczył dwadzieścia kilka domów rze-mieślniczych, klasztornych i dworskich”.

„Ten pożar był we włosach w podobnie
Komu dom zgorzał z biedą nie
ochłodził...”

— zapisał miejscowy kroni-
karz.

Potem przyszedł powstanie, kasacja zakonu, wojny i rany wojenne. No, więc bogatą przeszłość miał Paradyż, a jaka kroi mu się przyszłość?

Wieczór się zbliżał, ciemniały galerie emmentarza, zacięły się kontury pomników. Poszliśmy na próbę teatralną. Jest Grażyna, jest Barbara (Grażyna niższa i skośnooka, Barbara smuklejsza i bardziej „swojska”), jest Hanka, do której wypadło zacytować dwuwiersz, że na palcu ma diament a w sercu twardy krzemień. Jest i pan Józef Zalega, wysoki brunet. Gra w sztuce rolę męża, a Grażyna żony. Mają dorosłą córkę (Hankę), która zakochuje się nieszczerliwie i w podarunku od „narzeczonego” otrzymuje dziecko. Sztuka nosi tytuł „Taki wstyd”, wydała ją w roku 1958 Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, autorem jej jest Antoni Lachowicz. Z czytelnym sumieniem mogę powiedzieć, że sztuka jest kiepska, aktorzy czują się źle, grają, bo muszą, bo tylko ta rzecz wpadła im do rąk.

I oto dokonuję w Paradyżu „wielkiego odkrycia”: W małej osadzie chłopsko-robotniczo-urzędniczej zakwitła szczerza i nieskrępowana inicjatywa społeczna. „Paradyżanie maszerują naprzód”. „Paradyżanie korzystają z ciepła decentralizacji”. „Decentralizacja wydaje pierwsze owoce w Paradyżu!” Tutaj bowiem narodził się „zdrowy, oddolny ruch” i aby „on nie zamarł”, „nie skostniał” korzysta z najpełniejszej swobody, tym większej, że Wydziały Kultury zdecydowanie zerwały „z zasadą narzucania treści i metod pracy”, dbając przede wszystkim „o stworzenie w całej administracji właściwego klimatu dla inicjatywy i poczyniła społecznego ruchu kulturalno-oświatowego”, gdzie się dało używać pomocy materialnej — i co ważne! — uruchomiono poradnię instrukcyjno-metodyczną. Ale to jest wydział wojewódzki łódzki a Paradyż nie leży w naszym województwie. Może wydziały kultury w sąsiednich województwach dosłownie realizują zasadę decentralizacji?

Mówiąc o małej osadzie, z rzędu „zagubionych”, zastanawiamy się czy jest piękna, urocza, ciekawa, szara... Ale piękno czy brzydota miejscowości nie tworzą zabytkowe



ruiny, ani pomniki, ale ludzie. „Pogłębił problem” Paradyż leży w ludziach — panu Józefie, panu Bolesławie, panu Janie, pannie Grażynie, gromadce, która zdana jest przede wszystkim na siebie, na swoje doświadczenie.

Idziemy popatrzeć na Paradyż w noc, ale to mało ciekawe, bo noc jest czarna, jak atrament i nie widać. Z ciemnej mazi nocy wylonili się jakieś postacie, włosy nam się trochę zjeżyły, czy to przypadkiem nie jakiś imię nieboszczyk ziemianin obchodził o północy swoje dawne królestwo („nawet z mogiły woła głos natury”), ale był to pan Zalega z Grażynką, Barbarą i Hanką. Szukali nas po całym Paradyżu. „Pomóżcie nam, panowie!” — mówił do nas gorąco, a paniątki mu przytakiwały. „Nie mamy dobrego sztuki. Nie mamy instruktora teatralnego. Przed wojną były w Paradyżu trzy zespoły teatralne. „Dziś sala teatralna nam się nie amortyzuje” — słyszę „O, cuda, cuda, o śliczne cuda: Kto ma pieniądze, niechaj je tu da”.

Ogarniają mnie smutne refleksje. Nie chodzi już o brak jakiegokolwiek repertuaru świetlicowego. Nie mieliśmy go i w poprzednim okresie centralizacji. Inna rzecz, rozmaici spryciarze wykorzystują ten brak, podsuwają co mogą, i dobrze sobie z tego żyją.

Co innego wydaje mi się ważne. Nadmierna centralizacja to coś bardzo, ale to bardzo brzydkiego z punktu widzenia interesów Łodzi wobec zaborczej Warszawy. Decentralizacja już dziś przynosi pożądane rezultaty, ale w Łodzi, czy innych wykształconych ośrodkach, zdolnych do samodzielnego życia kulturalnego. Czym zaś jest

dla Paradyża? Spróbuj dziś, terenowy działacz, na niwie kultury prosić o pomoc, czy radę. Zaraz ci odrzekną: jak-to? Chcecie „ustawiania”, „komendy”? Jesteście samozdziałali. Zapala starczyło na amen, sami sobie gospodarzcie, część i niech żyje socjalizm!

Podziwiam niewielki, ale energiczny zespół „kulturalniaków” z Paradyża. Chcą poruszyć sennie wody, coś kiedyś jąda łódka bez wiosła i bez steru. Gdzie popłyną i czy się nie cofną? Tu w Paradyżu odniosłem wrażenie, że wracamy do lat dwudziestych. Garstka zapaleńców próbuje przedrzeć się przez morze obojętności, pragnie coś dobrego zdziałać. Zapala starczyło na krótko, zapala się wykruszał, wody zastęgały napowrót.

Jednak, jednak podobna sytuację przynosi decentralizacja na/ szczeblu Paradyża. Przynosi, gdyż traktuje się ją, jak szlachecką złość wolności. A robić co chcecie, byle powiat nasz zaciszny, byle powiat nasz spokojny, a może i wojewódzkie urzędy.

Nie uciekniemy od opieki, instruktażu, a nawet i kierowania zapalem ludzi chętnych i dzielnych. Inaczej szkoda mówić o polityce kulturalnej, o rozsądnym wyborze treści kulturalnych. Paradyż ożywił się ekonomicznie, chłopcy chodzą tylko mało i średniorolni, żyją dostatniej. Nie są zresztą pozostawieni samym sobie. Dlaczego pozostawiać samym sobie Zalegę, Grażynę, Basię, czy Hankę i wszystkich innych, którzy samowolnie, bez cienia przymusu biorą się za kulturę na wsi? Czemże to istnieje na wsi polityka ekonomiczna, społeczna, a nie istnieje polityka kulturalna?



MŁODZI NA SCENIE



Praca dyplomowa studentów IV roku. Rok akad. 1958/59. A. Fredro — „Pierwsza lepsza”. Premiera 27. XI. 1958. Reżyseria: prof. Jadwiga Chojnacka, scenografia: prof. Eugeniusz Bożyk, asystent reż.: Antoni Lewek. Osoby: Jadwiga Żywczak, Andrzej Chomiński, Ryszard Siódmiak

ednoaktówki stają się modne. Jednoaktówki grane są w Paryżu, w Monachium, w Warszawie, w Łodzi wreszcie. Łódzki świat teatrny życzliwie pośpieszył na premierę czterech jednoaktówek A. Fredry, wystawionych na scenie Teatru Młodego Widza. A premiera była to wyjątkowa, niecodzienna, pełna kwiatów, wiatów, też i gratulacji. Bo też młodzi absolwenci łódzkiej PWST święcili swoje primicie aktorskie na scenie łódzkiej. Primicie są primicjami i na to nikt nie nie poradzi. Niech ktoś spróbuje z takich primicji zrobić coś innego, w rodzaju np. ustalenia epokowej dla teatru polskiego daty, a wtedy narażać się może na zarzut impresjonisty, człowieka nieodpowiedzialnego, lub może nawet życzliwego krewnego, produkującego się na scenie młodych aktorów. Przedstawienie premierowe absolwentów Szkoły Teatralnej przy zachowaniu pewnych cech tzw. taryfy ulgowej, zobaczyć należy we właściwych proporcjach. Proporcje te obowiązują przede wszystkim dlatego, że młodzi aktorzy nie wypuszczają się bez opieki na szerokie i pełne wirów wody szlachetnego, a trudnego zawodu aktorskiego. Przeciwnie, prowadzi ich za rękę wytrawni i cenieni pedagodzy.

W wypadku ostatniej premiery — Jadwiga Chojnacka spełniła rolę reżysera, na scenę zaś wywołany został przez uśmiechniętych absolwentów Antoni Lewek, asystent reżysera, który z racji swojego miejsca zamieszkania musiał dołożyć wszelkich starań, aby przedstawienie wyglądało należąco.

Sam spektakl też nie sprawiał zawodu widzowi, choć znalazłoby się kilka spraw godnych bliźszego rozpatrzenia. Na przekór miłym i gracko napisanym przez Fredrę jednoaktówkom, sędze, że wybór tychże na przedstawienie dyplomowe nie jest rozwiązaniem najszybszym. Intencje realizatorów wybierających tę pozycję są dosyć jasne i zmierzają w kierunku słusznym. Chodzi o to, aby każdy ze studentów mógł „wygrać się” maksymalnie i swoje możliwości zaprezentować możliwie najlepiej.

Rzecz zrozumiała, że wybór pozycji repertuarowej, pozwalającej zrealizować w pełni te zamierzenia, następcą będzie trudności dosyć znaczne. W końcu jednak zwykle dzieje się tak (ma to chyba częstotliwość miejsce także w przypadku czterech jednoaktówek Fredry), że dochodzi do

niezamierzonego „uprzywilejowania” pewnych młodych aktorów, kosztem niezamierzonych „upośledzenia” innych. Ktoś gra kasztelan, inny znów furmana. Ktoś gra li tylko piękną damę, ktoś inny ulegającą celowej metamorfozie rajfurki. Powiecie: nie ma ról małych. I owszem, w przedstawieniu dyplomowym mogą być, są nawet małe role. Sprawa wymagałaby więc specjalnego, bardzo starannego potraktowania.

Trzeba także zdać sobie sprawę z tego, czego wymagać należy od młodych absolwentów Szkoły Teatralnej. A więc na pewno muszą oni umieć w stopniu zadowalającym mówić wiersz a także wylegitymować się dykcją należyta. Muszą także wykazać zrozumienie sytuacji scenicznej i zrozumienie, w stopniu większym, aniżeli najogólniej się to rozumie, psychologii postaci. Sądze, że dalszy dorzucenie jeszcze kilka szczegółów elementarnych. Reszta należy już do osobistych zdolności poszczególnych aktorów oraz umiejętnej pracy reżysera.

Jednoaktówki Fredry napisane są prosto i przejrzysto; nie zasługują, jak uważam, na jakiś dłuższy wywód. Sprawy miłości skomplikowanej,

pokazanej w sytuacjach w miarę głupawych, w miarę sympatycznych stanowią „duch ruchu” wszystkich czterech utworów Fredry. Przedstawienie Szkoły Teatralnej zyskuje oprawę plastyczną, grzeczną i kwiecistą. Ława znaczy ława, stół znaczy stół, kwiat znaczy kwiat, poeta znaczy poeta. Porzucmy jednak rekwizyty. Zwróćmy się ku wykonawcom. Byli wszyscy bez mała przejęci, mniej lub bardziej stremowani.

Perspektywy otwierające się przed kilkoma z nich są, jeśli wolno sądzić na podstawie komedijek Fredry, dość nawet znaczne. Niechaj wolno będzie więc nam zaliczyć Kazimierza Siedleckiego do najjaśniejszych punktów wieczoru. Jego kasztelan Uciełowski był postacią w wieku należyty, pyszną, nieledwie, narysowaną grubą, sarmacką kreską. Prócz tego Siedlecki pokazał w „Odludkach i pocie” rolę mimiczną nóżką całkiem próby. W „Intrydze na przedce” usłyszeliśmy także miły timbre głosu Teresy Kaludy. Cezary Kusił kreował postać służącego nieco na modłę Marcello Moretti, którego widzieliśmy w „Słudze dwóch panów” w czerwcu ub. r. Kusił młotem, jak sędze, przeszarżował. Jego służący należą jednak do postaci bardziej udanych owego wieczoru.

W „Odludkach i pocie” zwraca uwagę Józef Fryzłowicz. Mówi wiersz w sposób ironiczny, inteligentny, rytmiczny. Eugeniusz Rośniński szczerze bawi jako Kapka, berzysta, zahukany, biegający od stolika i samowaru do swojej upartej córki (wdzięczna Alicja Krawczyk). Ryszard Nadrowski prezentuje świetne warunki sceniczne romantycznego, zakochanego szczerze kochanka-poety.

„Pierwsza lepsza” kończy ten spektakl premierowy. Tutaj wspomnijmy Jadwigę Żywczak i Różę May-Ozaplewską, która znakomicie naśladowała kresowe zaśpiewy jako Panna Maria, przemysłowa kokietka. Ryszard Siódmiak jest względnie przekonującym doradcą swego przyjaciela. Andrzej Chomiński jest młodzieńcem, w konsekwencji i w potencji, należycie zaznaczonych. Skończmy już to przydługie wyliczanie.

Jest coś wzruszającego w pożegnaniu szkoły, w aplauzie olbrzymim, w kwiatach i łzach obficie dostarczanych. I my więc ze swojej strony gratulujemy końca i początku, życząc równocześnie zadowolenia w przyszłej pracy.



Czarodziejskie skrzypce

Czarodziejskie skrzypce można czytać dwójako: po pierwsze jako zbiór barwnie, popularnie i przystępnie opisanych faktów z życia wielkiego polskiego artysty, po drugie — jako dzieło literackie. Sądze, że wprawdzie pod tym drugim kątem widzenia „Czarodziejskie skrzypce” nie są — powiedzmy sobie szczerze — pozycją wybitną, ani nawet szczególnie interesującą — lecz rekompensują to wartości płynące z samego podjęcia tematu. Nie podoba mi się narracja, opis, styl, kompozycja książki. A jednak czytałem ją z wielkim zainteresowaniem — tak ciekawe, bujne i bogate było życie Henryka Wieniawskiego, możliwie precyzyjnie odtworzone przez Czekalskiego na kartach powieści.

Ośmioletni chłopiec koncertujący w domach inteligencji lubelskiej, w których do tradycji należało „muzycowanie”, ośmioletni chłopiec — student paryskiego Konserwatorium, dwunastoletni chłopiec — nagrodzony na końcowym popisie złotym medalem i skrzypcami Guarneriusa, trzynastoletni chłopiec — ulubieniec arystokratycznych salonów, potem Petersburg, Wiedeń, Anglia, nawet... Stany Zjednoczone... I do tego jeszcze romans z Angielką! Rzekiwiście, życie artysty stanowiło nie tyle jakiś temat i wyścig, starczyło mu barwnie przedstawić fakty z jego biografii, aby otrzymać interesującą książkę. Tu też leży zaleta powieści Czekalskiego. Wszelkie bowiem próby „psychologizowania”, próby pokazania wnętrza artysty, „drugiego dna”, psychicznych dramatów — spaliły na panewce. Czy to zresztą źle? Solidna, pisana trochę staroświecką manierą, bezpretensjonalna i daleka od „nowoczesności” powieść — też jest potrzebna... a. g.

Eustachy Czekalski: „Czarodziejskie skrzypce”.

Kochane małenstwa

Musicie przyznać, że do książek humorystycznych zaglądamy rzadko.

I że przeciętny poziom literatury humorystycznej jest w porównaniu do literatury poważnej (trudno tu o właściwe, przeciwstawne określenie) raczej niewysoki. Jako dowód rzeczowy może posłużyć choćby zestawienie tekstów zamieszczanych w „Szpilkach” z tekstami zamieszczanymi w „Nowej Kulturze” czy „Życiu Literackim”. Nie wydaje mi się, żeby sytuacja ta wyglądała poza naszym krajem zasadniczo różnie.

Książka Randal Lemoine'a*) wyrasta znacznie ponad ogólny poziom humorystyki. Co oczywiście nie znaczy, aby była pozycją szokującą.

Opisane w niej przygody dwóch chłopców, tudzież świnki morskiej i 30-kilogramowej bokserki (psa) — najpierw w domu pod Paryżem, a potem na wakacjach u niewyrozumiałej babki — na pewno nie są ezalaniem pasjonujące, a sposób ich opisanie nie zaskakuje zbyt odkrywczością i od czasu do czasu razi przegadaniem. Do tego niemal wszystkie postacie skonstruowane są w sposób co najmniej uproszczony.

Jednakże do zalet książki należy zaliczyć jej własny, odrębny styl, charakterystyczną atmosferę przypominającą nieco atmosferę groteski. Autor znalazł stały punkt obserwacji i należy go pochwalić za konsekwencję spojrzenia. Lemoine jest przede wszystkim sprzymierzeńcem dzieci. Wszystkie ich postawy powstały — tak twierdzi — w wyniku złośliwego przypadku.

Przyznajcie „Lemoine'owi” „Nagrodę Humorystów” w 1954 roku za „Kochane małenstwa” jest chyba uzasadnione.

T. Z.
Randal Lemoine: „Kochane małenstwa”, tłum. Magdalena Samozwaniec, Czytelnik, 1958 r.

La Passatella

La passatella to nazwa gry popularnej w południowych Włoszech, która polega na tym, że dwóch uczestników wyłonionych drogą losowania skaluje, łyż, i obraża pozostałych członków aż do opróżnienia dzbanka wina. „La passatella” — to tytuł powieści R. Vaillanda wydanej niedawno w czytelnikowskiej serii z Nike na okładce. Nazwisko Vaillanda nie jest obce polskiemu czytelnikowi. Kilka lat temu dużą dyskusję na łamach naszej prasy wywołała powieść tego pisarza „pt. „Dziwna zabawa”. Powieść ukazywała młodzież francuską w walce z faszyzmem. Krytyka wskazywała wtedy na naczelną cechę w piśmarstwie Vaillanda: przekór i wolteriański upór. Nowa powieść, której tytuł francuski brzmi „La loi” dowiodła, że pisarz odważnie sięga po tematykę współczesną, operując bardziej doskonałymi środkami wyrazu. Akcja powieści rozgrywa się w małym prowincjonalnym miasteczku w południowych Włoszech, bohaterami są mieszkańcy miasteczka. Zarzucano Vaillandowi, że przekraczał obraz życia ludności z najbliższych okolic Włoch, że na skutek selekcji zjawisk i skondensowania pewnych konfliktów zmienia się gatunek utworu — ciąży on ku filozoficznej przypowieści o moralnym, modnej we Francji w wieku XVIII. Zarzut ten pachnie dogmatyzmem. Żadnemu z krytyków nie udało się dotychczas udowodnić, że obraz otaczającego nas świata można odtworzyć tylko w konwencji realistycznej. W „La passatelli” Vailland przedstawia konflikt dwóch pokoleń — pokolenia odchodzącego (don Cezare), które za dużo widziało w życiu, za dużo wie o ludziach i świecie, i pokolenia młodych (Francesco), które wchodzi w życie oszukując siebie i otoczenie powierzchniowo i często spaczonym spojrzeniem na świat. „La passatella” uzyskała w zeszłym roku nagrodę Goncourtów, duży rozgłos na całym świecie i dobrze się stało, że te niewątpliwie ciekawą pozycję przyswojono naszemu czytelnikowi.

M. R.
Roger Vailland: „La passatella”, Czytelnik 1958.



A. Fredro — „Świeczka zgasła”. Premiera 27. XI. 1958. Osoby: Joanna Ciemniewska, Ryszard Siódmiak

TADEUSZ GIGGIER



1. Czy bawi Pana Pańska twórczość satyryczna?

Przepraszam, jak może bawić coś, co wynika z niezadowolonia?

2. Czy lubi Pan zwierzęta, a jeśli tak, to jakie?

Lubię kanarki. Zwłaszcza te w cudzych mieszkaniach.

3. Czy gra Pan w „Kukuleczkę”? A jeśli nie, to w co?

Nie gram w „Kukuleczkę” ale będę grał, jeśli za tę deklarację otrzymam honorarium „reklamowe”.

4. W jakich warunkach Pan pracuje? Co Panu przeszkadza, a co pomaga w pracy?

Pracuję w warunkach oślakanych. I to właśnie pomaga mi w pracy.

5. Co sądzi Pan o swoich kolegach — satyrykach?

Ze stale doskonałą swą warsztata.

6. Czy „Odgłosy” Pana bawią? Uczą? Podtrzymują na duchu?

Uczą mnie odwagi. No, no, zdecydować się wychodzić w Łodzi...

W związku z organizowaną przez „Odgłosy” akcją prezentowania łódzkich satyryków redakcja zwraca się do Pana z prośbą o łaskawą odpowiedź na następujące pytania:

NOTATKI NA MARGINESIE

Cienki dowcip: dowcip często tak cienki, że aż nie dostrzegalny.

swęj żonie: że nie daje mi żyć... z drugą.

Męska logika: poślubić wdowę z trojgiem dzieci i robić jej wymówki, że nie była dziewicą.

Jego żona to skarb. Tak ceniona? Nie, tak pusta.

Glupcom należałoby wymyślić trudniejszy sposób rozmnażania.

Najwyższy stopień uprzywilejowania: mieć klucz do oddzielnej ubikacji.

Jednego nie może darować

Mam dziwną obsesję: bym w wieku atomowym nie zginął pod dorożkarskim koniem.

FRASZKI

O PROGNOZIE POGODY

Prognoza prawdę mówi, względów się wyrzeka, czi wiedzę, profesorów, lecz zwodzi człowieka.

WESTCHNIENIE KUTWY

O świecie, podłe jesteście urządownicy: wydajcie złotówkę — cierpię za miliony.

TROFEA

Rozmawiało ze sobą dwóch starych bęcwałów, jak to dawnymi laty wyruszali na łów. Jeden mówił: ja kładłem wspaniałą zwierzynę. Drugi mówił: ja także kładłem, lecz dziewczynę. A dzisiaj cóż — westchnęli — los dotknął nas srogi: jako trofea obu nam zostały rogi.

ŚMIERĆ DON JUANA

Westchnął cicho i małą uroniwszy łezkę — z ciał ziemskich się przerzucił na ciała niebieskie.

NADZIEJA WIĘZIONEGO

Przez tyle lat siedziałem w domowym areszcie, może po śmierci sobie pofruwam nareszcie...

ARGUMENT

Nie wzbraniaj mi się, uroczą panienko, bo cóż jest warte nieodkryte piękno?

BIEGI W FILHARMONII

Pierwszy ukończył wyścig do szatni ten, co na koncert przyszedł ostatni.

PEWIEN AUTOR

Cóż, że styl ma rozlewny, nie widzę w tym szkody. Za to literaturę tworzy czystej wody.

O AUTORZE TRAGICZNYM

W każdym swym wierszu umierał z miłości, i tak doczekał późnej starości.

O NAŚLADOWCACH TADEUSZA RÓŻEWICZA

Tyłu uważa cię za ojca talentów swoich niepojętych, że zginąć by ci przyszło z głodu, gdybyś miał płacić alimenty.

W OBRONIE TOTKA

Inicjatywa dość ruchliwa z papierków nieszkodliwą stertą, więc skąd ten huk? i skąd te dziwa? i po co zaraz „grubą Bertą”? Nim zagrzmisz, naprzód się zastanów; może i ciebie milion spotka... Przeto z tych łamów wzywam panów: nie potępiajcie toto-łotka!

Marla w narodzie już nadzieja, opadły ręce, zwiśla stopa... Ktoś rzucił myśl (ach, czemu nie ja!) i nagle — ruch! i Europa! Złączone cele: w jednym froncie marksista skrajny i dewotka. A teraz znów, jedności, tną cię... Nie podcinajcie toto-łotka!

Jest dostęp — wedle słów poety — do wiedzy, światła i do książek, ale nie zawsze dojdę, niestety, tam można, kędy są pieniądze. Inaczej w totku: tu otworem fortuna stoi nader słodka, każdy ją wynieść może worem... Nie zamykajcie toto-łotka!

Masy konkretną ceną wiarę, metafizyczną gardzą bujdą. Ta wiara — na epoki miarę, ta droga — droga, którą pójdą. Dać pod rozwagę warto panom, że to coś więcej niż maskotka! Może być wrzask, że odebrano... Nie odbierajcie toto-łotka! Nie odbierajcie — klnę się niebem! Nie samym człowiekiem żyje chlebem.



APEL Z PRZESTROGĄ

Bij, satyryku, ostrzyj broń, bij celnie, ale — obok tarczy. Gdy w tarczę trafisz — Boże broń — tarcza jak wściekły pies zawarczy.

Bij, satyryku, śmiało mierz, nie zważaj: klika czy nie klika. Gdy w klikę trafisz — ta twój wiersz ukręci dla cię w pętlę stryka.

Już nie wystarczy gniewny rym i dowcip, który tnie jak szpada; ręka, co nazbyt ufa im, zwichnięta słabnie i opada.

Oszczędzaj przeto swoją dłoń, nie machaj nią dla łada chętki... Bądź ostry niczym biała broń, lecz również niczym broń ta — giętka.



Z Bohdanem Korzeniewskim o „Nie-boskiej komedii”

Wiadomość, że w Teatrze Nowym rozpoczęły się próby „Nie-boskiej komedii” ma dla kulturalnego życia Łodzi wielkie znaczenie. Fakt, że nasze miasto jako pierwsze w Polsce Ludowej zobaczy to wielkie arcydzieło narodowe, dodaje przygotowywanemu spektaklowi szczególnego smaku. A dodatkowy walor tkwi w tym, że realizator „Nie-boskiej komedii” — prof. dr Bohdan Korzeniewski zamierza wystawić dzieło Krasieńskiego nie powtarzając inscenizacji schillerowskich. Jaką koncepcję proponuje inscenizator?

— Panie Profesorze — pytam — czy wystawienie „Nie-boskiej” traktuje Pan jako zwykłe, że się tak wyrażę, sięgnięcie do pozycji klasycznej w naszej literaturze, czy też ma Pan jakieś specjalne intencje?

— Zaczniemy od tego, że trudno użyć tu określenia „zwykłe”. Losy dramatu romantycznego w Polsce są dziwne. Żyje on bardziej w narodowej wyobraźni niż na konkretnych scenach.

— Rozumiem. Wystawia-

my nasze wielkie dramaty romantyczne tak rzadko, że każda nowa inscenizacja jest czymś wyjątkowym.

— Muszę panu powiedzieć, że ma to swoje zalety. Nasze wielkie dramaty romantyczne są rzadko oglądane na scenie i przez to nie powszednieją. Każda nowa inscenizacja przypada na zmienioną sytuację w życiu narodu i stąd potrzeba nowego odczytania naszych klasyków. Teraz odpowiem panu na pierwsze pytanie. Uważam, że teatr nie jest muzeum starożytności. Klasykę należy więc wystawiać z istotnej potrzeby, a nie ars pro arte.

— Jak sprecyzowałby więc Pan Profesor aktualną po-

trzebę wystawienia „Nie-boskiej”?

— Uważam, że należy ona do sztuk natury uniwersalnej, to znaczy, że obok innych naszych wielkich dramatów romantycznych stanowi najcenniejszy wkład, jaki wnieść może Polska do kultury światowej. Będąc ostatnio we Francji zadałem tam swoim rozmówcom pytanie, dlaczego Arabowie nie grają w swoich teatrach mickiewiczowskich „Dziadów”? Przecież w swoim narodowym rozwoju znaleźli się właśnie w punkcie, w jakim nasz naród był w wieku XIX. Dla nich „Dziady” miałyby jakiś szczególnie aktualny sens.

— A w czym widzi Pan Profesor uniwersalność „Nie-boskiej”?

— W tym że może ona, moim zdaniem, odpowiedzieć na pewne pytania nurtujące dziś ludzkość. Uczyni to przy tym lepiej niż współcześnie powstająca literatura. Zaryzykuje twierdzenie, że w tym sensie Krasieński jest nowocześniejszy od Sartre'a.

— To twierdzenie brzmi

jak paradoks, ale chyba zrozumiałem intencję Pana Profesora. Proszę więc teraz o odpowiedź, co chce Pan wydobyc z utworu przez swoją inscenizację?

— Pragnąłbym jak najmniej nawiązywać do wartości historycznych „Nie-boskiej”. Traktuję ją jako dramat myśli. Inscenizacja zmierzać będzie do wydobycia myśli poety przy pomocy dzisiejszej formy. To znaczy chcemy znaleźć właściwą formę dla dzisiejszego określenia postawy romantycznej.

— Czy nie z tej formy nie znajduje Pan w inscenizacjach Schillera?

— Jego inscenizacje bierzemy pod uwagę, ale nie będziemy ich naśladować, gdyż wystawiamy „Nie-boską” w innym czasie.

— Czy mógłby Pan przypomnieć, czym różniły się od siebie dwie przedwojenne inscenizacje Schillera?

— Pierwsza inscenizacja w 1926 r. w Teatrze im. Bogusławskiego w Warszawie traktowała „Nie-boską” jako dramat współczesny. Hrabia Henryk ubrany był w modny podówczas garnitur, a Pankracy w skórzaną kurtkę. Przeciwnie, łódzka inscenizacja zrealizowana na krótko przed wojną umiejscawiała „Nie-boską” w latach trzydziestych XIX wieku,

— A Pan Profesor?

— Według mojej koncepcji inscenizacyjnej rewolucja, opisana w „Nie-boskiej”, rozgrywa się wszędzie i nigdzie, zawsze i nigdy. Rozgrywa się ona bowiem tylko w myśli poety. Stąd nie jesteśmy skrepowani względami historycznymi.

— Słowem, ważna jest tylko myśl poety?

— Tak jest. Dlatego włączymy do tekstu przedstawienia parabazy czyli części liryczne utworu, które dawniej pomijane były w inscenizacjach. A bez parabaz hrabia Henryk nie jest poetą. To właśnie w partiach lirycznych sprawdza on swój tragiczny dar poezji. Udratyzowanie partii lirycznych wymaga wprowadzenia do spektaklu czterech nowych postaci. To personifikacje myśli poety.

— Będą one wygłaszały partie liryczne?

— Nie tylko. Wystąpią także w monologach poety i w rozmowie z Pankracym, słowem wszędzie tam, gdzie myśl poety jest złożona. Gdzie on sam kontroluje i poprawia swój tok myśli. Ich wtręty usłyszymy tam, gdzie racje, zdaniem Krasieńskiego, są rozdzielone między dwa przeciwstawne obozy.

— A więc ilość postaci jeszcze się zwiększa...

— Tak. Ponieważ rzecz dzieje się w wyobraźni po-

ety nie w rzeczywistości, postaci muszą pojawiać się i niknąć na zawołanie, tak jak to się dzieje w myśli ludzkiej. Dlatego postaci przezwinię się przez scenę dobra setka.

— Czy Teatr Nowy temu podola?

— Właśnie Teatr Nowy. Szczęśliwy jestem, że wystawiam „Nie-boską” w teatrze zespołowym. Tylko taki bowiem zespół dźwignie obowiązków, zmuszając niektórych aktorów do grania czterech, pięciu, a nawet sześciu ról. Wiele z tych ról jest tekstowo nikłych, a jednak wybitni aktorzy Teatru Nowego podjęli się ich dla dobra całości spektaklu.

— Zrozumiałem myśl Pana Profesora w ten sposób, że w zespołach kultywujących „gwiazdorstwo” nie udałooby się panu tej inscenizacji zrealizować.

— To właśnie miałem na myśli.

— Pozostaje mi podziękować Panu Profesorowi za tę ogromnie ciekawą rozmowę.

Rozmawiał:

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



Pustynne szczyry



W czasie ostatniej wojny wojska niemieckie i włoskie, dowodzone przez marszałka Rommla, poważnie zagroziły Aleksandrii i Kairowi. Na ich tyły wyruszyły małe oddziały specjalnej formacji, tzw. Grupy Pustynnej Dalekiego Zasięgu, aby

zniszczyć określone cele. Czy samotne zgubione w afrykańskiej pustyni oddziały zdołają to zadanie wykonać?

Major Easonsmith uśmiecha się. Uśmiech ten sprawia, że ślady czołgów na piasku przestają być ważne. Cóż z tego, że były tu czołgi? Tym lepiej! Zadanie będzie jeszcze trudniejsze. Nieprzyjacieli wie, spodziewa się ich. Zaskoczenie, najistotniejsza przesłanka powodzenia, odpada. Ale czy o powodzenie przede wszystkim chodzi? Czy nie chodzi o coś o wiele ważniejszego? Dali ze siebie wszystko. W nieskończonym trudzie przebrnęli przez morze piaskowe. I co okazuje się, że niepotrzebnie? Nieprawda! To było potrzebne. Dla nich samych. Próbować. Dać z siebie wszystko. To jedno się liczy. Powodzenie jest właściwie sprawą drugorzędną. W dalszym ciągu będą próbowali. Mimo że nieprzyjacieli wie.

Patrol rodezyjski odłącza się od szwadronu, skręca na zachód. Mają się połączyć z grupą Stirlinga, która uderzy na lotnisko w Beninie.

Jeep majora Easonsmitha rusza. Dalej na północ. Za nim, rojem, pozostałe wozy szwadronu.

W tym samym czasie, w innym miejscu pustyni, na pierwszym wozie ukazała się zielona chorągiewka. Kolumna zaczęła zwalniać, wozy zatrzymały się, zachowując te same odległości, co w czasie marszu. Ludzie zeskakiwali na ziemię, prostowali obolałe od długiej jazdy w niewygodnej pozycji kości. Kierowcy przez parę minut pozostali w samochodach, silniki pracowały jeszcze chwilę na wolnych obrotach.

Mundury, wypłowiałe od częstego prania i działania słońca, podobne do siebie na pierwszy rzut oka, uważnemu obserwatorowi powiedziałyby od razu, że ma przed sobą transport jeńców angielskich pod eskortą niemiecką. Mundury. Bo poza tym nic nie wskazywało na to, że w grupie są i zwycięzcy, i zwyciężeni. Eskortę pozostawiała bez troski broń w wozach i gwarzyła przyjaźnie z jeńcami, pogryzając suchary, popijając herbatą. Po chwili kilku jeńców zajęło się rozstawianiem anteny radiowej przy jednym z wozów. Ruchy ich były sprawne, celowe. Potem i oni wyciągnęli się przy samochodach — skąpego cienia nie dla wszystkich starczyło. Przez chwilę jeszcze było słychać tu i ówdzie leniwą rozmowę, ale wkrótce zapanowało

milczenie. Tylko z pierwszego wozu dobiegało monotonne stukanie klucza radiotelegrafisty.

Starszy, szczupły mężczyzna, w takim samym jak i reszta jeńców mundurze — koszuli z zawiniętymi rękawami i szortach — z koroną i kwadratem podpułkownika armii brytyjskiej na naramiennikach, zdawał się też drześć. Pierwszy jednak podniósł głowę, kiedy z daleka dobiegł słaby, ale wyraźnie słyszalny warok silnika samolotu. Po chwili dopiero podniósł głowy i inni. Samolot nadlatywał nieco z boku, stosunkowo wysoko, wyraźnie jednak widać było znak rozpoznawczy — krzyż niemiecki. Znak ten, rzecz dziwna, i u jeńców i u eskorty, wywołały tę samą reakcję: w oczach malowało się oczekiwanie i niepokój.

— Nie zauważyli — z ulgą w głosie powiedział kierowca w mundurze niemieckim do wyciągniętego obok niego na piasku jeńca. Mówił po angielsku.

— Nasz stary ma szczęście. Z nim się zawsze udaje. — Wiesz, odechciało mi się spać. I tak niedługo chyba ruszymy dalej, więc już nie warto. Czy to prawda, że stary brał udział w próbie porwania Rommla?

— Tak. W listopadzie 1941 roku. Zginął wówczas major Keyes. Pułkownik Haselden — nasz stary — wyszedł z życiem. Ale akcja się nie powiodła. Informacje okazały się błędne. Rommel miał jakoby mieszkać w Beda Littoria i zaatakowany został dom wskazany jako zajmowany przez niego. Tymczasem Rommel w ogóle nigdy tam nie był — urządził się w jaskini w Wadi Kuf, za miastem — a w dniu tym był w Rzymie. Pułkownika znalazł później patrol LRDG w pustyni, właściwie w Wadi Szegran — pustynia się tam kończy, a zaczyna góry. Wówczas też staremu się udało.

— A teraz Tobruk. Byłeś tam kiedy?

— Byłem. Trzymaliśmy twierdzę wspólnie z Australijczykami i Polakami. Pamiętam... ale pułkownik wstał, za chwilę będziemy ruszali. Jak tam z wodą w chłodnicy?

— Zaraz sprawdzę.

W dziesięć minut później trzy pióropusze kurzu na

horyzoncie wskazywały kierunek marszu kolumny — na północny zachód, na Tobruk.

★

— Więc, co pan ma nowego, kapitanie?

— Muszę przyznać, panie generale, że mój dotychczasowy sceptycyzm był nieuzasadniony. Nasi ludzie w Kairze pracują rzeczywiście świetnie. Inna rzecz, że przychodzi im to stosunkowo łatwo. Czarowne mieszkanki tego uroczego miasta same, nie proszone nawet, na wysługi znoszą informacje. Z tych cegiełek powstaje piękny gmach...

— Do rzeczy.

— Tak jest. Jak już panu generałowi meldowałem, dostaliśmy szczegóły planowanego przez Anglików wypadu na Benghazę. Otóż podobny wypad przygotowywują na Tobruk.

— Kiedy?

— Daty, niestety, jeszcze nie znamy, tak jak i w wypadku akcji na Benghazę. Wszystko zdaje się jednak wskazywać, że odbędzie się to tego samego dnia, a raczej nocy.

— Jakże pan ma szczegóły?

— Do Tobruku wybierają się komandosi. Dowodzi pułkownik Haselden...

— Haselden? Ten sam?...

— Ten sam. Z nim osiemdziesięciu ludzi. Trzy ciężarówki. Kierowcy wozów i rzekoma eskorta — Żydzi niemieccy. Eskortę — bo reszta ma udawać jeńców angielskich. Pod płaszczami mają mieć pistolety maszynowe. Pod płaszczami — a więc akcja nocna. Haselden liczy na to, że dostaną się do Tobruku bez żadnych trudności — do portu, gdzie zamierza opanować baterie obrony wybrzeża. O świcie do portu mają wpłynąć dwa kontrtorpedowce i kilka barek motorowych, wysadzić desant, wesprzeć akcję ogniem dział okrętowych. Chcą uwolnić 4.000 jeńców, uzbroid ich w broń zdobytą, opanować twierdzę i trzymać się, aż do rozstrzygnięcia na froncie, pod El Alamein.

d. c. n.

Nie, nigdy nic nie słyszałem o Michel Butorze. O tym, jaki jest. Podróżuje? Rozbija się samochodem? Przesiadując godzinami w kawiarniach? Zamyka się gdzieś na odludziu? Doprawdy — ani jednej anegdoty. Nie widziałem także jego fotografii. A jednak bez trudu umiem sobie stworzyć wizerunek tego pisarza. Butor jest na pewno bardzo grzeczny. Chyba nawet przesadnie grzeczny. W każdym bądź razie tak go sobie wyobrażam.

— Ale niby dlaczego? — zdziwi się ktoś. Może jest akurat na odwrót. Może Butor to właśnie gbur? Może bije się z uciechą po udach i zżera horrendalne ilości jadła? — O, nie — zaprzeczę łagodnie. Czytałem jego „Odmiany czasu” i wiem, co o tym sądzić.

Czy pamiętacie Jakuba Revela? W „Odmianach czasu” gra on rolę bohatera powieści. Ten młody Francuz przyjeżdża do angielskiego miasta Bleston na rok, aby odbyć praktykę w firmie Matthews and Sons.

MIROSLAW OCHOCKI

Butor przesadnie uprzejmy

Jakub Revel odsiaduje tedy długie godziny w burze, przewraca papierki i jest niesłychanie grzeczny. Certuje się, ścisza głos w ustawicznych reweransach, prawie nie wkłada kapelusza. No, a swoją drogą daje ustawiczne bacznie na to, czy aby mu kto nie uchybił. Ta uprzejmość miłego skądinąd młodzieńca zrazu zaskakuje czytelnika, potem go niepokoi, wreszcie wprawia w popłoch. — Panie Jakubie! — chce się wykrzyknąć — niechże pan przestanie przesadzać! Trudno i darmo: pod tą układnością wewnątrz samego Butora.

A poza tym? A poza tym w „Odmianach czasu” istnieje już tylko koncepcja. A raczej koncept.

Pervpetie bohatera, opisy miasta i ludzi — wszystko to służy temu, aby autor mógł wyłożyć swoje tezy.

Filozoficzne? No, nie przesadzajmy. Krótko mówiąc: tezy.

Ostatnimi laty bardzo charakterystyczna dla prozy, zwłaszcza francuskiej, stała się „powieść z kluczem”. Typową powieść z kluczem prezentuje Albert Camus. Przypomnijmy sobie chociażby jego „Obcego” albo „Upadek”. Rzecz polega po prostu na tym, że autor wykorzystuje tradycyjną konwencję powieści dla zilustrowania jakiejś swojej tezy. Światopoglądowej, etycznej, estetycznej. Tak więc powstaje coś, co przywołuje na pamięć powiastkę filozoficzną. Wydarzenia, opisy, sentencje wypowiadane przez postacie powieści pisarz porządkuje i przysposabia tak, aby jak najdobitniej wyjaśnić jego zasadniczą ideę. Pod tym względem książka Butora jest swego rodzaju

powieścią z kluczem. O kluczu do niej nie trudno. Autor sam wciska go nam żarliwie w rękę. Proszę bardzo, oto on.

Do niczego, prócz rzeczy — wyklada Butor — nie możemy mieć zaufania. Tylko one nas nie zawiodą, tylko co do nich wiemy na pewno, jakie są. Stąd wniosek: dzieło literackie nie powinno zawierać interpretacji świata, a tylko oglądy rzeczywistości. W ślad za tym idzie postulat pisarski: rozbudowa opisu rzeczy. Tę tezę zresztą Butor w swojej powieści realizuje. Na wyrost. Szuka tej konwencji, która dałaby maksymalną dokładność relacji. Gdzie znajdujemy takie pedantyczne opisy? Oczywiście, w dokumentach sądowych. Tam, gdzie na przykład tropi się jakąś zbrodnię. Butor opisyje wszystko tak, jak gdyby

był sędzią śledczym. W czasie sprawowania czynności. Zadnego szczegółu nie można pominąć, bo każdy może być decydujący dla sprawy. A czytelnik? W chwilach rozpacz ma ochotę zamordować autora. Gdyby tylko był pod ręką.

Tej maniackalnej skrupulatności opisu idzie w sukurs konwencja stylistyczna Butora. Przede wszystkim rozbudowane, długie zdania. Co mówię, długie! Zdania ciągnące się przez parę stron.

Na marginesie: Butor ma skłonność do roślinności. Mnoży porównania, zawierające w sobie lisy, róże, płatki, paki. Przesadna układość idzie w parze z panięńskością wrzuseń. Zjawisko dość częste.

Ale na tym, co zanotowałem powyżej, nie wyczerpuję się tezy autorskie Butora,

Jeszcze jedna przynajmniej zasługuje na uwagę. Butor zdaje się wykladać, że przezeń jest poznawalna tylko w czasie, stąd jest nie do poznania. Stąd też poczywmy Jakub Revel mimo planów, które piętrzą się na jego biurku, nie może połączyć się, jaki właściwie jest ten Bleston. Mimo że sądząc z opisu, podać to raczej; mielibyśmy. Oczywiście, te ustawiczne usiłowania bohatera powieści, aby poznać miasteczko, które, im dłużej je poznaje, tym bardziej rozciąga się przed nim nieogarnione — wywołują nastrój. Cóż, różnie można sobie komplikować życie.

W sumie? Kochani, ta powieść jest diabelnie nudna. I nie na to nie poradzi różgłos, jakiego zażywa Butor i cała grupa, do której należy, włącznie z jej teoretykiem Roland Barthes'em. Powtarzam z satysfakcją: ta powieść jest nudna. — Więc dlaczego tak się pan o niej rozpisał? — Dlaczego? Dlatego, że napisano już o niej u nas wiele. Z uwielbieniem. Przeciwno uwielbieniu grzecznie protestuję.

LUNAPARK

11

styczeń

Tomasza

KALENDARZYK
TYGODNIA

Seweryna. Pogoda jak zwykle. Dni się stają coraz dłuższe. Żalostne skutki wielkiej świątecznej wędrowki ludów. Po pierwszym jak przed pierwszym.



„Paw, gdy rozciąga powaby swego ogona, odsłania braki swego podogonia”.

Horoskopy Lunaparku



KOBIETY PIERWSZEJ DEKADY KOZIOROŻCA chociaż z natury ŻYWE, PŁOCHE, MARZYCIELSKIE, SENTYMENTALNE I O MOCNYCH ORGANIZMACH, to mimo to skłonne do BÓŁÓW GŁOWY I ARTRETYZMU. Często LUBIA

Lunapark redaguje nie Jan Huszcza, tylko Zygmunt Filas

SIĘ RUMIENIC; z wiekiem jednak odwykają od tej przypadłości wczesnego wieku... Lubią wiele podróżować... Bardzo dobry materiał ludzki na wysiłki sportowe do obcych krajów. Doskonały element do gry na instrumentach dętych najcięższego kalibru. Świetne aktorki, ekspedientki, krasnówczynie i konwojentki.

SZCZĘŚLIWE KAMIEŃ dla osób urodzonych w drugiej dekadzie Koziorożca: Almandi, Granat, kojące karnawałowe cierpienia po miłosnych zawodach i sprzyjające szczęśliwym zaślubinom. Szczęśliwym kwiatem: Róża, chroniąca przed złymi zamiarami. Zaleca się używać wód kolońskich o zapachu rezedowym, włosy zaś i suknie farbować na KOLOR BRAZOWY.

Odpowiedzi

Redakcji

TYLKO SIĘ NIE SPOŻYWAĆ!

Helusia, Baca, Wołomin.

Tak jest. Kadrowiec jest zadowolony z konserwatysty. Jak każdy klasyczny schematysta o to tylko dba, żeby interesujący go personele nie spóźniał się. Wolno panu w czasie zajęć biurowych grać w brydża, skata, szewca, w bilard, wolno pani opowiadać swe sny, omawiać najnowsze modele sukienek, bylebyś pojawiała się w budynku fabrycznym pięć minut przed godziną ósmą... Mylisz się, jeśli sądzisz, iż pracowitość jest miernikiem ludzkiej doskonałości. Należy więcej mówić, niż robić, głośniej szumieć niż... wrzeć. Nie czynami buduje się zgręby awansu, lecz słowami. Od czego „baśka” pracuje?

JAJECENE OBSESJE

Ambroży Oberbober. Sulejów. Przed tygodniem śnił ci się jaja w sosie cyrkonowym, przedwczoraj szarlotka z jaj, wczoraj po południu w czasie drzemki poobiedniej widział pan Giewont przez dziurkę w jajku, wieczorem śniłeś pan, że przedmuchiwałeś zawartość kopy jaj przez słomkę, wczoraj obudziłeś się złany potem, bo śniło ci się, że wy-

ślądziesz jaja w poczekalni awtorca fabrycznego... Czy nie lepiej, miast wykosztywać się na znaczki pocztowe, udać się do kabalanki, która wyjaśni ci, twe sny?

WSZYSTKO ZA DARMO, NAWET ŻYLAKI

(Nazwisko znane redakcji).

Krynica. Mieszkam kątem w Krynicy. Wspaniałe górskie powietrze, za którego iłkanie inni słono placą, mam gratis. Wodę mineralną otrzymuję po znajomości. Piękne widoki nic mnie nie kosztują. Śniegu, zasp, mrozów mam tyle, ile tylko dusza zapagnie. Na „Patrię” patrzę bezpłatnie. Żylaki, tasiemca mam za darmo... Czy nie jest ironią losu, że z tych samych darmoch korzysta każda kanna zarabiająca bokami dziesięć razy więcej niż ja, rencistka, mająca 524 zł miesięcznie?

Kacik dla abstynentów

Dalszy ciąg z przedostatniego numeru:

Oto kilka nowych pozycji alkoholicy: cąja słynna epopeja satyryczna „Gargantua i Pantagruel” tonie w oparach wina — jej autor Franciszek Rabelais kilkakrotnie zdejmował sukienkę duchowną, plamioną życiem oddalonym od reguł zakonnych; amerykański pisarz Edgar Allan Poe, arcy mistrz groteski, zamiast pisać przyzwoite nowele z budującym zakończeniem, daje upust swej delirycznej fantazji; Jack London, zamiast oddarzyć świat nowymi tomami nowel, kończy swą żywota karierę na dnie morza; wybitny poeta francuski Gerard de Nerval aż kilka razy musi szukać ucieczki przed rzekomymi koszmarami życia, w miejscach osamotnienia; satyryk Niekrasow tylko w stanie niekrasowym każe objąć kołkami tył swej karety, żeby gawiedz nie korzystała z jej osi w celu jeżdżenia na nich na gape; poeta Stanisław Przybyszewski tylko z powodu swego nieumiarowanego pociągu do sztucznych podnieć daje się uwieść urokom życia na stanowisku zwyczajnego urzędnika pocztowego;

Dalszy ciąg listy w następnym numerze.

ANTON— — albo — kronikarz brytyjskiej szlachty

W wydanym przed kilku laty albumie żartów „Puncha”, przeznaczonym dla czytelników amerykańskich, określono twórczość Antona na takim oto krótkim zdaniem: „Sympatie swoje kieruje ku prowincji, prowincjuszom i ludziom naiwnym”. Można się spierać, czy właściwie użyto tu słowa „sympatie”, ale pozostaje faktem, że Anton upodobał sobie szczególnie życie angielskiej prowincji, a zwłaszcza — zamożnego ziemiaństwa.

To zresztą temat ogromnie w Anglii popularny. Brytyjczy, choć tak mocno przywiązani do pewnych akcesoriów szlacheckich — starych zamków, pielęgnowanych ogrodów, wywiezionej służby, polowań i golfu — jednocześnie ogromnie lubią żarty o arystokracji rodowej. Bo właśnie ten klan noszący całą skostniałość tradycji i snobizmu. A z tradycji i snobizmu Anglii śmieją się najchętniej.

Żarty Antona nie są satyrą — jak my to pojęcie dziś rozumiemy. Nie ma w nich gorzkiej zjadliwości, jest tylko lekka ironia. Przy tym kpiną ta godzi najwyżej w pewne właściwości psychiczne arystokracji. Anton nie zamierza nikogo demaskować, ani mieszać z błotem.

Dowcipy rasowego humorysty — jakim jest niewątpliwie Anton — choć operują raczej niezbyt skomplikowaną formułą konizmu, nie są żartami szablonowymi. Prosta i czytelność idzie tu w parze z oryginalnością pomysłów.

Anton należy do młodszego pokolenia angielskich humorystów. Debiutował w „Punchu” i jest jego stałym współpracownikiem.

J. W.



— Jak panowie skończą robotę, może zechcieliby podlać nam trawnik?



Czy Mylady dzwoniła?...

Miejszadiny

Pod redakcją JANA HUSZCZY Rok I Nr IV
Łódź, data stempla pocztowego

Lubujemy się w przepisach i regulaminach. Może dlatego, że na ogół jesteśmy bałaganiarzami — to przywiązujemy do nich szczególne znaczenie, fetyszujemy je.

Ilość przepisów i regulaminów, obowiązujących w Polsce, wzrasta z dnia na dzień.

Od jednej z naszych czytelniczek, która nocowała w warszawskim „Grand Hotelu”, otrzymaliśmy jeszcze jeden regulamin, tym razem regulamin dla gości hotelowych.

Na małej karteczce zadrukowanego papieru zostało zmieścić dwa wzajemnie wykluczające się przepisy. Oto one:

„Doba hotelowa trwa od godz. 18 do godz. 18 dnia następnego. Przedłużenie pobytu na dobę następną należy zgłosić i opłacić najpóźniej do godz. 15. Pokoje nie opłacone w tym terminie uważane będą za zwolnione i zostaną przydzielone na dobę następną innemu osobom”.

„Zwolnienie pokoju winno być zgłoszone do recepcji co najmniej 6 godzin przed wyjazdem”.

Czy więc pokój „uważany będzie za zwolniony” od godz. 15 czy od 12?

Zresztą, co to nas właściwie obchodzi? hotel jest przeznaczony przede wszystkim dla cudzoziemców, a oni szalenie lubią różne takie tamagłówki!

Czy znasz powieści polskie?

I ogólnopolski konkurs

PONIEJ PRZYTACZAMY PIERWSZE ZDANIA Z SIĘDMU WYBITNYCH I POPULARNYCH POWIEŚCI POLSKICH. Należy podać tytuły i nazwiska autorów tych powieści. Wśród uczestników konkursu, którzy trafnie odpowiedzą przynajmniej na 5 pytań, rozlosujemy sześć książek.

Uczestnicy konkursu, będący z zawodu organizatorami imprez artystycznych lub recenzentami literacko-teatralno-filmowymi, wezmą udział w losowaniu nawet wtedy, gdy trafnie odpowiedzą na 4 pytania.

ODPOWIEDZI PROSIMY NADSYŁAĆ NA ADRES „ODGŁOSÓW” Z DOPIS-

NASZ ODCINEK POWIEŚCIOWY:

TRAGICZNA ŚMIERĆ RODZINY PIJAKA

czyli

za winy nie popełnione

Wciąż awantury, kłótnie rodzinne. Gdy mąż powracał nad ranem! Zona i dziecko przecież niewinne. Za cóż był dla nich tyranem?

Gdy żadne słowa nie pomagały. Cierpliwość się wyczerpała. Z Halinką skończył ten żywot cały. Już sobie uplanowała... (d.c.n.)

Przegląd prasy

Dziś robimy wyjątek i sięgamy po wydawnictwo bardziej nam współczesne. Z jednodniówki „Wrocławskie Od Nowa” (Wrocław, 13. XII, 58), skądinąd dość ambitnej i sympatycznej przytaczamy pierwszą zwrotkę z wiersza, otwierającego numer:

„Na kłęcznikach tysiąca mórz
Bianko, Bianco — całuję twoje
do zielonych modlimy się
[wzgór
Ciastka z pianką Bianco-In-
[dianko
a to jest...”

Rzeczywiście — zapytujemy — co to właściwie jest? Ze względu zaś na początek karnawału przytaczamy

dwie karnawałowe anegdoty z dawnych czasopism humorystycznych:

CO LEPSZE?

— Niech mi też ojciec poradzi, mam się żenić, czy zostać starym kawalerem?

— Stanowczo lepiej się ożeń. Uważasz, kochany symu, staremu kawalerowi wszędzie jest źle, a człowiek żonaty, gdy mu jest źle w domu, może poszukać schronienia na mieście.

Z ROZMÓW

— A jak się udał bal u szanownych państwa?

— Doskonale! Został prawie cały kawior...

KALIKST ŁASICZKA

(Z puścizny poetyckiej)

ULICA AKACJOWA

TRAGICZNE DYSPORCJE

Obluda wielka na tym

świecie:

ot, weźmy choćby majorową, widziałem sam jak co dzień

w lecie

sza z rudym Heńkiem

Akacjową...

Świat, mówią, naprzód ciągle idzie,

w uszach postępu gra nam nuta!

A w naszym domu — hańbo, wstydzie! —

od roku winda już zepsuta...

str. 14 odgłosy

Czerwone złoto

Ulica Armii Ludowej. Na jednym rogu bar „Kolejowy”, na drugim duży sklep spożywczy, w którym także sprzedają wódkę. W głębi niepozorny budynek w kolorze mleka kakaowego, z dużym czerwonym krzyżem nad drzwiami: „Stacja Krwiodawstwa w Łodzi”.

Z piskiem opon zatrzymuje się przed budynkiem Stacji sanitarka Pogotowia Ratunkowego. Z samochodu wyskakuje sanitariusz w białym kitlu, skacze po dwa stopnie na raz, wbiega do budynku. Tam, za drzwiami padają krótkie dyspozycje — i po chwili sanitarka z zielonym krzyżem trąbiącą pędzi z szybkością 80 km na godzinę. Wiezie do szpitala Pogotowia krew do przeprowadzenia transfuzji dla ofiar zabawy tanecznej zakończonej tragicznym epilogiem.

„Krew jako środek leczniczy znajduje szerokie zastosowanie w chirurgii przy padkach nagłych, póżniaczkach, w medycynie wewnętrznej. Właściwie nie ma takiej gałęzi medycyny, w której krew nie oddawałaby większych lub mniejszych usług”.

KARTOTEKA

Piątek, to dzień, w którym pracownicy Stacji Krwiodawstwa mają najwięcej roboty. Tłum ludzi czeka w kolejce przed pomieszczeniami kartoteki. Sprawne ręce rejestratorki przerzucają setki kolorowych kartek.

Dwa lata temu była duża podaż. Dziennie do Stacji zgłaszało się około 200 krwiodawców. Obecnie zaledwie 50—60.

Ogółem zarejestrowanych jest w Stacji 26.000 osób, lecz znaczny procent z nich oddaje krew tylko sporadycznie. W efekcie potrzeby miasta zaspokajane są w 50—60 proc.

Gdy już mowa o procentach: oto tak zwany „przekrój socjalny” krwiodawców

Robotnicy	70 proc.
Inteligencja	20 proc.
Chłopi	7 proc.
Studenti	1 proc.
Inni	2 proc.
W tym kobiet	40 proc.

POCZEKALNIA

W rogu pod oknem dwie kobiety:

— Ciekawam, jak to dzisiaj długo potrwa. Chciałabym być jak najwcześniej w domu.

— Ja też. Bo wie pani, mąż mój wraca z pracy o drugiej. Jak nie zdążę ugotować obiadu, będzie awantura.

— No!

— Ano, widzi pani, mój mąż zaraz, że siedziałam na kominkach... A ja przecież nie powiem, gdzie byłam... Byłaby awantura jak sto diabłów!

— O pani, ja to znam. Kiedyś mój mąż szukał czegoś w mojej torbie, chyba pieniędzy, już nie pamiętam. Jak znalazł legitymację ze Stacji to tak się wściekł, że podał ją, zrobił krzyk na cały dom i jeszcze brał się do bicia...

W przeciwnym kącie poczekalni siedzi młoda kobieta. Ciągłe nawoływanie zniecierpliwionym głosem: „Michasiu, chodź tu natychmiast do mnie”. A dzieciak czuje się jak u siebie w domu. Łazi po całej poczekalni, zagląda w każdy kąt i nikogo się nie boi.

— Oj! — bo to taki kłopot z dzieckiem — mówi młoda kobieta do sąsiadki, jakby usprawiedliwiając się.

— A nie może go pani zostawić u kogoś?

— Mogłabym u sąsiadek, ale nie powiem, że na te pół dnia wyszłam na zakupy. A jakbym powiedziała gdzie idę, zaraz by cała ulica wiedziała.

Te rozmowy nie są przypadkowe. W naszym społeczeństwie panuje przekonanie o wstydlwym charakterze pięknego czynu krwiodawcy.

BOKS

Pomieszczenie, w którym pobiera się krew.

Wzdłuż oszklonej ścianki rząd krzeseł. Na krzesłach „pacjenci” z podwinętymi rękawami. Za szybą pielęgniarki w maskach.

— Siostrze, ile dziś daje? — 225 mililitrów. — Tak mało? — Tak zaordynował lekarz.

— Siostrze, proszę coś zrobić i wziąć mi 450. Bardzo potrzebuję pieniędzy.

— Nie mogę, proszę pana, taka jest decyzja lekarza.

— Ale gdyby siostra chciała...

— Nie mogę.

Pewnego dnia do dyrektora Stacji dr Kuźmickiego zgłosił się młody człowiek:

— Panie dyrektorze — powiedział — wprowadź dzisiaj nie mój termin oddania krwi, ale zmarł mi wczoraj ojciec, potrzebuję gwałtownie pieniędzy. Proszę mi pójść na rękę.

Dyrektor odstąpił tym razem od zasady i poszedł na rękę.

Po pewnym czasie u dyrektora zjawił się brat owego młodego człowieka — sam również krwiodawca:

— Panie dyrektorze, wprowadź dzisiaj nie mój termin oddania krwi, ale zmarł mi wujek i gwałtownie potrzebuję pieniędzy...

— Jakże to — zdziwił się dyrektor — parę dni temu był pański brat i mówił, że zmarł wam ojciec... — Ach, bo brat się pomylił.

KASA

Przed okienkiem kilka osób.

Dwóch mężczyzn przekłada banknoty, szybko nakłada piaseczko i wychodzi. Przy rogu Narutowicza skręcają i wchodzi do restauracji. Wiedzą, w jakim stanie opuszcza lokal za dwie godziny.

W pobliżu Stacji Krwiodawstwa jest kilka knajp podrzędnej kategorii. W jednej można pić na jedną nogę, w drugiej na drugą, a w trzeciej poprawka — na trzecią. Mają one niezłe obroty z „pobudzania krajeńców”. Trzy kieliszki wystarczą, aby wystąpiły takie zmiany w krążeniu, że dalszą drogę odbywa się już na noskach.

Przed drzwiami Stacji stoi siwa, stara babcia z małą dziewczynką. Drzwi otwierają się i wychodzi z nich młoda kobieta. Mała biegnie do niej z uśmiechem.

Za chwilę cała trójka idzie w kierunku miasta.

Na trasie od Stacji Krwiodawstwa jest wiele sklepów. Za wystawami tych sklepów miga twarz młodej kobiety z matką i dzieckiem. Po godzinnej wędrówce — mała niesie pudło z bucikami, babcia ma nową chustkę na głowie, a matka — pogodny uśmiech na twarzy.

Pod okienkiem kasy młody mężczyzna z załotnym wąsikiem rozmawia z kolegami:

— Marian, idź pierwszy i zajmij stolik. Poczekamy tylko na Józka i Każka i zaraz tam przychodzimy.

— Dobra!

Młody człowiek z uśmiechem zbiega po schodach. Nagle twarz jego przybiera gniewny, odpychający wyraz. Zobaczył zbliżającą się do niego, biednie ubraną kobietę.

— Po coś tu przyszedł! Jedyną odpowiedź kobiety jest pokorny uśmiech. Może tym razem pieniądze zostaną ocalone?

Ekwiwalent pieniężny otrzymany za krew może być różnorodnie zużytkowany. Dobrze i źle. W wypadku gdy Stacja dowiaduje się o upijaniu się krwiodawcy — automatycznie skreśla go ze swej listy. Chodzi tu o obronę życia krwiodawcy i krwiodobiorcy.

KARTOTEKA

Pracujący krwiodawcy kończą swój pobyt w Stacji, zgłaszając się po zaświadczenia usprawiedliwiające ich nieobecność w pracy. Rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów zawarte w piśmie okólnym nr 188 z dnia 11.XII. 1951 r. (Monitor Polski nr A-103 poz. 1509 z dnia 24.XII. 51 r.) oraz okólnik Ministra Zdrowia z dnia 9.I.1952 r. stwierdzają, że pracownik zwolniony od pracy dla wykonania obowiązku krwiodawcy zachowuje prawo do wynagrodzenia od zakładu pracy, za czas tego zwolnienia.

Dyrektor MPK w Łodzi wydał wewnętrzny okólnik dla pracowników, że wolno im krew oddawać tylko w dni wolne od pracy, w przeciwnym wypadku nie będą usprawiedliwiane ich nieo-



becności w pracy i potrąci im się kwoty z uposażeń za dzień, w którym oddawali krew Stacji.

W związku z tym napłynęły do Stacji skargi krwiodawców — pracowników MPK.

Stacja Krwiodawstwa z tytułu opieki nad krwiodawcami wystąpiła z interwencją do dyrekcji MPK. Na to dyrektor MPK odpowiedział, że pracownicy przedsiębiorstwa pracują według tak zwanego grafiku na zmiany i plan zajęć przewiduje dni wolne w różnych dniach. W związku z tym pracownicy na kilka miesięcy naprzód mogą dowiedzieć się, kiedy przypada im dzień wolny od pracy i do tych terminów Stacja może się dostosować.

Interwencja dyrektora Stacji Krwiodawstwa nie odniosła skutku, okólnik nie anulowano, pracownikom pieniędzy nie wypłacono.

Stacja Krwiodawstwa podlegająca Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w obronie swych podopiecznych złożyła skargę do kolegium orzekającego przeciwko MPK podlegającemu Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej.

„Krwiodawca — to rzeczywisty współtwórca społecznej służby zdrowia. Każdy nowy krwiodawca — to gwarancja lepszej zdrowotności społeczeństwa”.

W dniu oddania krwi zwolnienie od pracy obejmuje krwiodawców pracujących na pierwszej i drugiej zmianie. Natomiast nie obejmuje zmiany trzeciej. Procentowo biorąc większość krwiodawców, to robotnicy pracujący na trzy zmiany. Robotnikowi pracującemu na nocnej zmianie może zdarzyć się jakiś nieszczęśliwy wypadek wynikający z zaburzeń w krążeniu krwi. Ponadto należy mu się odpoczynek (sprowadzający się do ograniczenia wysiłków) w dniu oddania.

Dlatego zwolnienie od pracy w dniu oddania krwi winno obejmować i robotników trzeciej zmiany

KRWIODAWCY SIĘ NALEŻY:

Oddanie krwi jest czynem szlachetnym i społecznym. Ekwiwalent pieniężny przeznaczony za krew służy do wyrównania w organizmie ubytku, jaki wywołuje jej oddanie. Organizm wróćnuje ten ubytek w ciągu dwu tygodni przy forsownym odżywianiu. Za 450 mililitrów

krwi otrzymuje się 630 złotych.

Od 1950 roku ceny krwi nie uległy zmianie. Natomiast cen wielu artykułów podwyższyły się, jak również uległy tej podwyżce i zarobki pracowników. 630 zł nie wystarcza na dwutygodniowe forsowne odżywianie. Dlatego w ostatnich latach zmniejszyła się ilość krwiodawców.

Należałoby również wprowadzić zwiększenie urlopu taryfowego na przykład o 5 dni dla pracujących krwiodawców, którzy oddali już na przykład 20 litrów krwi. Natomiast w szczególnych wypadkach, kiedy krwiodawca przekroczył 35 litrów krwi powinien otrzymywać bezpłatne wczasowe lecznicze lub wypoczynkowe.

Nie tylko krwiodawca dla społeczeństwa, ale społeczeństwo coś dla krwiodawcy winno zrobić także!

GDYBY W HIROSZIMIE

znano plazmę ludzką nie byłoby tylu wypadków śmiertelnych. Plazma jest jedynym niezastąpionym lekiem na wszelkiego rodzaju oparzenia — nawet gazami bojowymi i energią promienistą.

Łódzka Stacja Krwiodawstwa jest małym kombinatem, w którym oprócz przetwarzania krwi prowadzi się na szeroką skalę wyrób plazmy, surowicy łożyskowej i produktów krwiozastępczych. Jako pierwsza po wojnie otwarta Stacja Krwiodawstwa ma ona duże tradycje i dobre zagraniczne urządzenia (suszarki plazmy). Normalną pracę utrudnia jednak brak odpowiedniego pomieszczenia (nawet dla krwiodawców brak wypoczynalni i odpowiedniej szatni). Stary budynek wali się, nowy dopełnia w perspektywie. Trudno w takich warunkach mówić o pracy „kombinatu krwi” pełną parą. Stacja nosiła się z pięknym zamiarem społecznego badania grup krwi, szczególnie w zakładach produkcyjnych, w których istnieje możliwość nieszczęśliwych wypadków. Tak... ale gdzie?

A miasto nasze tak jak każdy żywy organizm potrzebuje krwi...

* Wszystkie cytaty z pracy dr W. Lietza pt. „O krwiodawstwie i krwiolecznictwie”.

odgłosy str. 15



Redaguje Zespół. O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”. O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca. O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-579 z zaznaczeniem na „Ogłoszy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 3934. I. 59. S-5

gitle czeka na mężyczne. A Brigita może należeć do
wieg Panowie! Rodacy! Nic każdego z Was! Tym bar-
nie jest jeszcze stracone! dzieł, że B. B. przepada za-
Wspaniała przyszłość wraz z razem z... Słowianami.

WŁAŚCICIELE NAJNOWOCZĘSZEJ KILIA

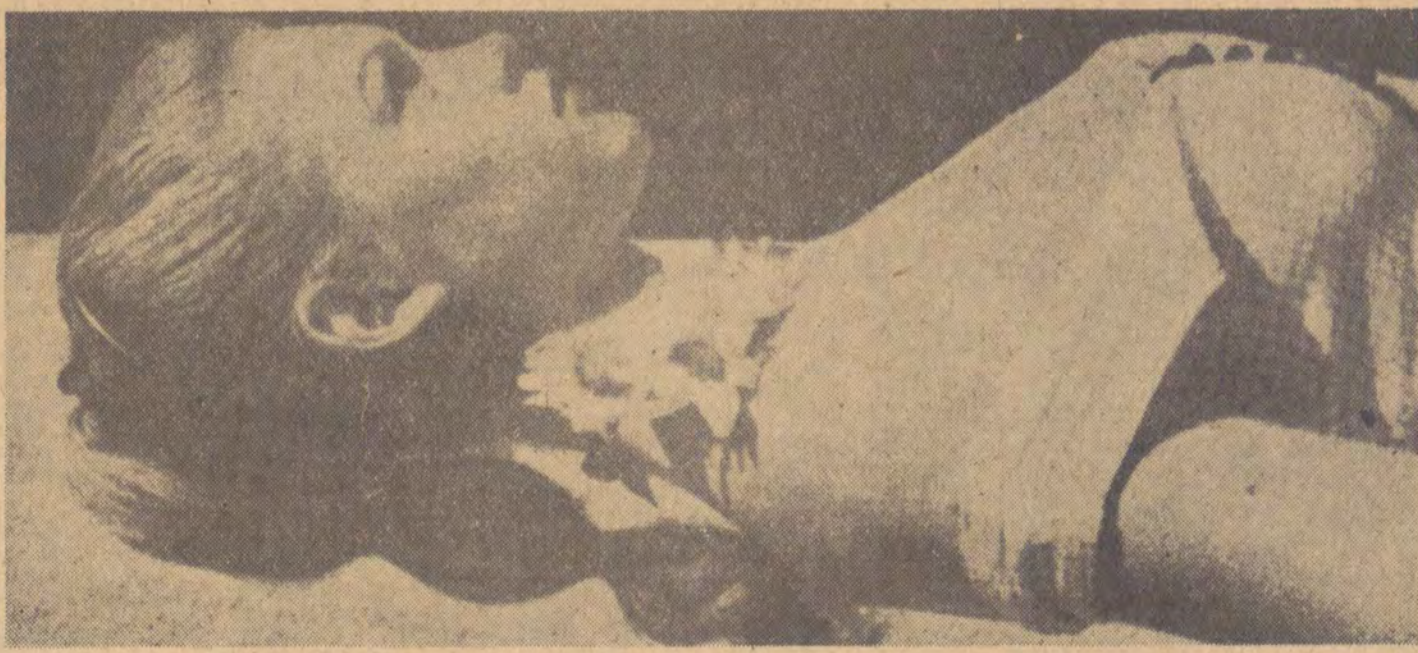
WŁAŚCICIELE NAJNOWOCZESNIEJSZEGO kina Metropol w Singapurze ofiarowali każdemu, kto dowiedzie, że w Metropoli straszą duchy — bezpłatny wstęp na przeciąg jednego roku. Po Singapurze krąży bowiem straszliwa wieść, iż puste sale w każdym przedzie, zarezerwowane dla specjalnych gości, zajmowane są przez duchy. Niektóre, co wrażliwsze osoby, usiłując zająć te miejsca — słysząc jakoby nawet głucho okrzyki: „Nie ślądaj na mojej ścieżce!”

Pobyt duchów może być dobrą reklamą dla starego zamku, ale nie dla nowoczesnego kina. Strapieni właściciele postanowili więc wprowadzić w ten sposób bezpodstawnie pogłoszanych opinii publiczną i udowodnić, że publiczne wystawianie prawdziwych konkluzji przez podstępnych konkurentów

POWŁOKA CIELESNA

BARDOTKI nie stanowi tajemnicy dla nikogo, ale dramatyczny duchowie gwiżdzy nie są jeszcze znane szerokim masom P.T. publiczności. Aby naprawić ten poważny mankament matka Bardot zapowiada opublikowanie wielopomnego dzieła pt. „Moja córka B. B.". Będzie to zbiór anegdot i poufnych zwierzeń.

Matka B. B. pragnie udowodnić, że córka jej nie jest narwana i zepsuta przez łatwy sukces dziewczyna, lecz tragiczna heroina wewnętrznych walk i konfliktów. Tragedia życia nieszczejnej Bar-dolki jest ponoć poszukiwana i niemożność znalezienia prawdziwej miłości. Br-



To zdjęcie na pewno znajdzie dla siebie miejsce w monografii pióra mamy Bardol. Przedstawia ono Brigitte w roku 1951.

A więc Warszawa, ulica Mokotowska. Gospodarze przybywający wsiół przy wejściu nie czynią, Korytarczyk i zawodzący saksofon. I zaraz przychodzi na myśl podobieństwo: zjechała onego czasu do Łodzi ekipa nakręcająca film produkcji polsko-czeskiej, opatrzonej frapującym tytułem „Zadzwonic do mojej żony”. Sympatycy (skądinąd) Czesi znaleźli w Polsce dwa nader egzotyczne (dla siebie re-

kwizyty; morze i piwnicę „Egzystencjalistów”. Morze wystąpiło w postaci nieco sfaiszowanej (załotaka...) ale i piwnicę podrobiono także... Dosć powiedzieli, że rekoma zmyślnych fachowców wybudowano w łódzkim atelier ciemnawie pomieszczeniu i zapewniono je na ogół autentycznymi bywałkami piwnic, zwierzętami w tym celu zwać nienajbliższego Krakowa. Ten barwny tłumek uzupełniony został miejscowymi statystami, przebranyimi trochę dla rozrywki, a trochę dla niepoznaki w odpowiednio nieuniformy. Przyznosło to efekt w miarę rzetelny, i ludzie świadomi rzeczy z nadzwyczajną cierpliwością czekali dnia polskiego premiery obrazu.

Przypomniałem sobie te ciekawostki, patrząc w za-
dymiony sufity. „Hybrydy“
to wcale nie piwnica, tylko
bardzo zwyczajny warszaw-
ski klub. **A** może trochę
niezwykły? Bo „Hybry-
dy“ — to także kawałek ki-
n...a...

Pokazywał kiedyś teatrzyk Bim-Bom skecz złożony z kilku parodi filmowych. Aktorzy „robili” kolejno film włoski, francuski, amerykański i radziecki. Jakos podobnie mili bywacy Hybryd „robią” coś z filmów francuskich, włoskich i ty-

Od p. Eugeniusza Pasiecznika,
liśmy list, następującej treści:

W związku z felietonem Pana Marcina Kosteckiego „Kulturowe” (Odgłosy, Nr. 42 z dn. 14. 12. 58) — pozwalam sobie na nieścisłość.

Autor píše: „Kazimierz nad Wisłą nie miał szczęścia. Wspaniałą architekturę miasteczka”.

A oto nazwiska realizatorów: scenariusz — Wandorski, zdjęcia — Henryk Hermanowicz.

A zatem — czy Kazimierz miał trochę szczęścia do

Sporo zszczęścia do... ekranu miał natomiast film o...
...wystawiano w kinach w...
...WFO, które wyświetlano w kinach w...
...„Kazimierz” reprezento...
...Krajowauwczajnych i Turystycznych w Bri...
...Festiwalu w Trzynie.

Gdyby Autor felietonu miał ochotę obejrzeć film u nas pokaz zapraszamy.

ko z radzieckich i polskich
raczej nie. A robia te ka-
walki filmów sobą — swoim
zachowaniem się, wyglądem
(tak!), gestami. Był tu na-
wet „odstawiony“ — jak
wiesz nieście — film amery-
kański.

Nawzięcej tu francuskiego kina. Gotowe sceny, sekwencje, epizody. Jest w tym chyba mnóstwo z „Szachrajów” (trudno wyrokować, czy się filmu jeszcze nie widziało), ale nie tylko. Każda parta, przez swój charakterystyczny rytuał była (przywołanie, sposób składania przy stolek, aż po nową modę: fatalstwo dostęgalne udawanie stanu małego „rauszi”) jest jakoś bardziej zachodnioeuropejska niż warszawska,

Nagle w przerwie (osobny rozdział trzeba by napisać o tańcu), gdy Dudaś Matuszkiewicz odkłada klarnet i idzie do bufetu (coraz więcej

...suna, matematycznie – je-
ope-
ped-
atorów młodego pokolenia
wypada wzburzona malta kłó-
rejs niesfornej pociętych.
Pewnie ją chce wyciągnąć z
„bagna”, nie wie, iż uzupel-
nia mimochodem tę i tak
wyszukaną galerię – soc-
nałwyrażnie pożyzo-
Włota coś – jakby z „Na-
dział za dwa grosze”.

Tutaj nadziei dostaje się za 10 złotych wstępu. Na dziecię na jakieś inne. Na dziecię te dostają rozroczają ni chłopcy w obciskach dzinsach i dziewczęta ubrane z

...ora WFO — otrzyma-

ucji filmu pt. „Upadek
uprzejmie sprostować

filmu. Trudno pojąć, jak
wykorzystać filmowo

ewska i Tadeusz Ja-

zu: był jednym z niedyskryminacji krótkodukcję polską na Konbieżącym — wystany

órni — serdecznie Go
ENIUSZ PASIECZNIK
(Dyrektor)

niepowtarzalnym wdziękiem. Jakież jest to inne? Inne to m. in. ów taniec, którego sens opiera się na indywidualniamu popisie, na przedstawianiu zręczności, nabytej za cenę długich godzin ćwiczeń. Inne to...

Niestorna pociecha skon-
czyła tany. Akt połaiania
odbywa się na oczach tłocz-
ciańskich, którzy wleczą
się wokół szatni. Mała jest
najwyraźniej bezczelna, ru-
chając się jakby bezwładnie,
ale na ogół woli milczeć. Ma
jaskrawo umalowane usta i
krępy obrzucone grubą war-
stwą tuszu.

— Jak ty wyglądasz?! —
dziwi się matka, (a ma przy
tym twarz, jakby widziała
swoją pociechę po raz pierw-
szy w życiu).

O właśnie. W półmroku sali nie było tego widać. Teraz, w gręgu nie osłoniętej żarówki flizis malej przedstawia się komicznie. To był nieznaczny zgryz, czyli zaskoczenie. Ale zaskoczenie to właśnie najbardziej „typowy” chwyt kina.

Dwie sakki przegadzone
baram. Ktoś powieidiał, że
tutaj smutne dzieł odna-
dła się w wielkiej Warsza-
wie. Ich mundur, a może i
poza — kryje w sobie coś z
małego fałszu. Jakas wło-
ność, próbe ożywienia cze-
goś, co nie znajduje dla sie-
bie tła: owę nieszczerne-
"otaczki". Można ten mun-
dur i tę pozę rozumieć jako
instynktowny odruch, chcę o-
brony młodego „ja”. Mnie-
by chwile, gdy owó „ja” (mo-
że nieraz śmieszne) zamknie-
cie było w obszarze zjawie-
nego muzykowania, lub choćby
terminologii. Teraz tylko
coś utkwiłone w snitt, dłoń
na ramieniu dziewczyny i
prośba do barmanki o jeszcze
jedno wino.

EDWARD ETLE

PRZYPIS: Powyższe modyfikacje wyznaczone zostały na podstawie imprezy niezbyt dla „Hybryd” typowej. W Klubie działają liczne i aktywne sekcje twórcze. Z obywatelami niewątpliwie mamy wiele wspólnego. Ale z tymem mało.